Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, 14 lipca 1946 r. | Nr 22 (33)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

Stanisław Kulczyński

Mowa uroczysta

Jest to przemówienie rektora wyższych uczelni wrocławskich, wygłoszone na uroczystym otwarciu Uniwersytetu i Politechniki podczas Dni Kultury. Tytuł pochodzi od Redakcji.

I.

Szkoły wyższe jako jednostki prawne, rodzą się, z aktów ustawodawczych, ale jako ośrodki pracy naukowej, wyrastają z tradycji wieloletnich wysiłków. Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu liczą jako organizmy prawne niespełna rok życia, ale jako zespoły naukowe wyrastają z wypróbowanych i starych tradycji lwowskich. Jakkolwiek grono naszych kolegów, zasilone zostało licznymi wybitnymi siłami naukowymi, rekrutującymi się z Wilna, Warszawy, Krakowa i Poznania, niemniej trzon naszego zespołu naukowego, starszego i młodszego, podobnie, jak trzon naszego zespołu młodzieżowego, pochodzi z za Buga. Jesteśmy materialnymi spadkobiercami ruin niemieckiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, a duchowymi spadkobiercami kresowej kultury lwowskiej. Toteż pierwsza myśl nasza biegnie ku pamiętnemu porankowi dnia 4. lipca 1941 roku, kiedy to odbywał się we Lwowie akt publiczny akademickich szkół lwowskich, akt krwawy, treścią swą związany głęboko z aktem dzisiejszym. Akademickie szkoły lwowskie stanęły tego dnia nie na podium auli, ale pod ścianą piaskowni lwowskiej, nie w obliczu władz i społeczeństwa polskiego, ale w obliczu władz i przedstawicieli społeczeństwa niemieckiego. Reżyserem tej uroczystości był Himmler, a wykonawcą Niemiec Otto Krüger, podówczas szef miejscowego Gestapo, później morderca 250 nauczycieli Stanisławowa. Jakkolwiek odległa jest ta chwila, pamiętamy i widzimy, jak w oczach naszych osuwa się na kolana i wali w rów ostatni rektor lwowski, Roman Longhamp i trzech jego synów, dziekan Ostrowski i jego żona, dziekan Rencki i chirurg Dobrzaniecki i internista Grek i jego żona i osiemdziesięcioletni Sołowij i jego wnuk Mięsowicz i pediatra Progulski i jego syn i stomatolog Cieszyński i rektor Sieradzki i dziekan Nowicki i jego syn i położnik Mączewski i Henryk Hilarowicz i okulista Grzędzielski i ksiądz Komarnicki i Stanisław Ruff i jego żona i jego syn i Boy-Żeleński i Edward Hamerski i matematyk Ruziewicz i ekonomista Korowicz, i Kazimierz Bartel, i matematyk Łomnicki i Kasper Weigel i jego syn, i Włodzimierz Stożek i dwóch jego synów i profesor Krukowski i Kazimierz Vetulani, Roman Witkiewicz i Stanisław Pilat i 80 studentów medycyny. Oto żniwo jednego dnia. 120 nazwisk, w tym 25 profesorów, 120 liter aktu spisanego krwią naszych kolegów i kulami karabinu Ottona Krügera, **aktu, w którym spisane zostało nasze moralne prawo do dzisiejszej uroczystości we Wrocławiu, aktu w którym mieści się odpowiedź na pytanie, dlaczego w auli tej, wzniesionej niemieckimi rękoma, jesteśmy dzisiaj sami bez reprezentacji nauki niemieckiej, dlaczego w gronie młodzieży naszej nie chcemy widzieć żadnego Niemca, żadnego przyszłego Ottona Krügera, dlaczego na podszepty, że nauka jest ideą międzynarodową, odpowiadamy, — owszem rozmawiać będziemy o tym, ale poprzez ścianę i poprzez kordon bagnetów polskich, stojących na Nysie i Odrze.**

II.

Akt likwidacji Uniwresytetu i Politechniki lwowskiej odbył się trzeciego dnia po wkroczeniu armii niemieckiej do Lwowa.

Trzeciego dnia po złamaniu oporu niemieckiego przez armię Związku Radzieckiego wkroczyła do Wrocławia grupa ludzi, której zadaniem było ratowanie szczątków wrocławskich uczelni i przygotowanie warunków pod organizację przyszłego Uniwersytetu i Politechniki. Przyprowadził tę grupę pierwszy prezydent miasta i pierwszy Uniwersytetu i Politechniki opiekun i protektor dr. Bolesław Drobner. Uniwersytecko-politechniczna grupa pionierska składała się z 25 osób, w tym 4 akademików.

W skład grupy weszli dwaj reprezentanci wyznań ks. prof. Niemczyk i kanonik Łagosz, trzej delegaci dla spraw muzealnych z płk. Ciałowiczem na czele, pięciu lekarzy, a mianowicie: docent Baranowski, dr. Owiński, Szpilczyński, Dzioba, Nowakowski, specjaliści dla spraw bibliotecznych dr. Knot i dr. Gostomska, geolog Zwierzycki, chemicy Kuczyński, Gorzelany i Jóźkiewicz, fizyk Kuczera i panowie — Kamiński, Kozak, Kofta, Herzig i dwóch braci Gębczaków. W dziesięć dni później pojawili się: prorektor Loria, profesorowie — Stefko, Maleczyński, Majewski, inż. Mamak, dr. Skrowaczewska, referentka prasowa p. Wierszyłło i kilku innych. Grupa została zasilona kilkunastu ochotnikami z grona polskich więźniów politycznych, osadzonych w obozach wrocławskich, jak inż. Smoleński, Edward Zubik, dr. Marczewski, p. Jarema i inni. Grupa tych ludzi opanowała w ciągu dwóch dni wszystkie ważniejsze obiekty uniwersyteckie. Obserwatorium astronomiczne i Politechnikę zastaliśmy zajęte przez władze radzieckie pod opieką kapitana Orłowa, który je w czasie rabunku pokapitulacyjnego ocalił, a w kilku miesięcy później oddał w całości w ręce polskie. Rozpoczęły się pertraktacje z władzami wojskowymi i politycznymi o przekazanie Obserwatorium i Politechniki. Zainicjował je dr. Drobner, a zakończył ostatecznie w Moskwie min. Minc. Równocześnie rozpoczęły się prace nad uporządkowaniem ruin. Stan zniszczenia, w jakim zastaliśmy budynki i zakłady naukowe, był niemal rozpaczliwy. Niedościgłym marzeniem wydawała się odbudowa i pokrycie dachów przed nadejściem zimy. O oszkleniu pojedyńczych okien nie śmieliśmy nawet marzyć. Odparcie ataków rabunku, na jaki wystawionych było z górą 100 rozbitych i rozgrodzonych budynków uniwersyteckich, wydawało się dla garstki ludzi wprost niemożliwe. Mimo to zabrano się z wiarą do pracy, nie bacząc na wykształcenie zawodowe kierowników. Politechnikę odrestaurował chemik Smoleński, instytut rolny chemicy Kuczyński i Skrowaczewska, kliniki zabezpieczyli lekarze. Instytut weterynaryjny odbudowali studenci weterynaryjni. Gmach główny, w którym obradujemy, pokrył dachem, zamknął i odrestaurował w części ks. prof. Niemczyk i filolog Piprek. Instytut prawny — profesor historii Maleczyński. Warsztaty samochodowe i tabor zorganizował mikrobiolog Zubik, bibliotekę odbudował historyk Knot. O rozmiarach pracy włożonej w dzieło odbudowy wszechnicy wrocławskiej świadczą następujące cyfry:

Całkowicie zabezpieczono na okres zimowy oraz pokryto i oszklono 25 budynków. Powierzchnia pokrytych dachów wynosiła do zimy 36.000 m². Powierzchnia wprawionych szyb 20.000 m². **Do oszklenia przyczynili się walnie robotnicy huty szkła w Wałbrzychu, którzy ofiarowali swą pracę na wytworzenie 2,5 wagonów szkła dla Uniwersytetu i Politechniki.** Oceniając w pełni wysiłek tych robotników, Senat postanowił w trzecim dniu Kultury Polskiej na Ziemiach Zachodnich poświęcić jedną z sal wykładowych i nazwać imieniem załogi robotniczej, która pierwsza i tak ofiarnie zadokumentowała solidarność nauki i świata pracy. Usunięto setki ton gruzu i wydobyto spod niego cenny materiał naukowy. Rozminowano wszystkie budynki. Wymurowano poważną ilość wewnętrznych powalonych ścian w budynkach, odrestaurowano kilka burzących uderzeń bombowych na Politechnice i na klinikach. Naprawiono setki wyrwanych drzwi, okien i bram. Rozpoczęto kapitalny remont kilku gmachów. Zremontowano kotłownie i instalacje w najważniejszych budynkach. Dumą naszą jest Politechnika, która uderzona bombą w samo serce, bo w kotłownię i uszkodzona kilkoma ciężkimi pociskami artyleryjskimi, jest dzisiaj uporządkowanym instytutem z halami maszyn w pełnym ruchu. Kliniki prócz chirurgii pracują jedne w warunkach bardzo jeszcze ciężkich, inne w warunkach dobrych. Zakłady teoretyczne medycyny podniosły się z ruin. Niektóre, jak zakład mikrobiologii lekarskiej, przedstawia obraz doskonałego instytutu badawczego.

Ogromnej pracy dokonano w zakresie rewindykacji zbiorów naukowych, wywiezionych przed oblężeniem miasta przez Niemców. Dzięki inicjatywie i energii kierownika bibliotek d-ra Knota zwieziono ponad 100 aut ciężarowych cennych naukowych książek i zbiorów. Księgozbiór dawnej biblioteki uniwersyteckiej spłonął. Księgozbiór biblioteki miejskiej zastano w stanie zupełnego wymieszania i rozrzucenia przez podmuchy bomb, częściowo wymieciony na ulicę. Cały ten księgozbiór, liczący około 300.000 tomów, ustawiono, a katalogi uporządkowano. Cenny ten księgozbiór naukowy o typie humanistycznym został w pierwszy wrocławski Dzień Kultury uroczystym aktem darowizny przekazany Uniwersytetowi i Politechnice przez miasto. W urządzonej bibliotece otwarto czytelnię profesorską

Perspektywa Odry

„NIE BĘDZIEMY TOLEROWALI UPOŚLEDZENIA ŚLĄZAKÓW, KASZUBÓW, MAZURÓW I WARMIAKÓW". Te słowa wicepremiera Gomółki, zawarte w wywiadzie udzielonym agencji prasowej API, są niezwykłym wydarzeniem i daleko zobowiązującą deklaracją. Z tych łamów nieraz padały gorące słowa obrony polskiej ludności autochtonicznej Ziem Odzyskanych przed samowolą niektórych przybyłych tu Polaków lub polskich urzędów. W wywiadzie swym wicepremier Gomółka stwierdza, w sposób może tylko zanadto oględny, że „niektóre ogniwa władz administracyjnych nie zawsze i nie wszędzie doceniały i doceniają jeszcze zagadnienie autochtonicznej ludności polskiej na Ziemiach Odzyskanych".

Chcemy tu dodać, że nie tylko nie doceniają, ale nawet niejednokrotnie nie dostrzegają tego zagadnienia, próbując je zmieścić w jednym wspólnym mianowniku: Niemiec. Dowodów na to dostarczyła „Odra" i dostarczyć można by z każdym idącym nowym dniem.

Upośledzenie istnieje nadal. Nie można sobie bowiem inaczej wytłumaczyć faktu dobrowolnego wyjazdu do Rzeszy zweryfikowanych już, znanych na długo przed wojną ze swego patriotyzmu Polaków z takiego np. powiatu kluczborskiego na Opolszczyźnie. Upośledzenie wynika nie tylko z nieznajomości stosunków, jaką wykazują przychodzący tu Polacy, lecz również z ich postawy psychicznej, nie zawsze licującej z godnością człowieka, nie mówiąc już o godności Polaka.

Z jednej strony publicystyka nasza i literatura pełna jest słodkobrzmiących deklamacji o wytrwaniu, o piastowskiej dzielnicy, z drugiej zaś w życiu praktycznym dzieją się fakty niedopuszczalne i tragiczne, dyskredytujące manifestowane w prasie i literaturze uczucia. ZBIERAMY TRAGICZNE ŻNIWO PO SIEJBIE Z WCZESNEJ WIOSNY ROKU UBIEGŁEGO! Zatrute ziarno zasiali szabrownicy, których zbrodnie próbowano lekceważyć albo i wybielać. Zasiali ziarno nieufności, które wydaje owoc liczny i potężny, choć niejednokrotnie skryty.

Progniemy, by oświadczenie wysokiego członka Rządu choć w części pozwoliło naprawić zło i zbrodnię, przyniesione jako pierwsze pozdrowienia powracającej Polski. Cenimy sobie wielce to oświadczenie i pragniemy również, by nie było ono ostatnie.

Uniwersytet Wrocławski

na 50 miejsc i ogólne lektorium studenckie na 150 miejsc. Z terenu miasta Wrocławia, z mienia poniemieckiego zarząd bibliotek zabezpieczył około 1.200.000 tomów, które podlegają porządkowaniu i sortowaniu. Dotąd przesortowano około 350.000 tomów. Zbiory te zasilają głównie zniszczone zakłady, odbudowujące się i urządzające na nowo, następnie służyć będą całemu krajowi. Z terenu Śląska Dolnego zwozi się materiał książkowy, wywieziony przez Niemców do schronów prowincjonalnych. Zbiory te stanowiące własność Uniwersytetu i Politechniki oraz archiwów miejskich i państwowych liczą około 1.600 ton samych książek i wiele wagonów archiwaliów. W połowie 1945 roku materiał ten był jeszcze w całości do uratowania. Niestety, część tego materiału przepadła z powodu braku środków transportowych. W każdym razie z dawnej biblioteki uniwersyteckiej udało się uratować 180.000 tomów, z bibliotek zakładowych około 60.000 tomów, ponadto zbiory mineralogiczne, chemiczne i inne. Wszystkie te prace wykonane zostały w roku sprawozdawczym sumą niewiele przekraczającą 10.000.000 zł. Tak przedstawiałyby się prace przedwstępne w najogólniejszym szkicu.

III.

Odremontowane gmachy trzeba było zaludnić pracownikami naukowymi i młodzieżą. W jesieni ubiegłego roku, zorganizowaliśmy we Wrocławiu Śląską Wszechnicę, jednoczącą w sobie wydziały Uniwersytetu i Politechniki. Organizując uczelnię, zdawaliśmy sobie sprawę, że repolonizacji naszych ziem zachodnich nie dokona w pełni sam żołnierz, ani nawet chłop i robotnik, o ile nie znajdzie oparcia w polskiej szkole, w polskiej książce, nauce i kulturze. Na to, aby ziemia Piastowska stała się znowu i tym razem na zawsze organiczną częścią naszego kraju, trzeba, aby była z nim zespolona jednym krwiobiegiem, nie tylko ekonomicznym, ale i kulturalnym. Z myślą o naukowym wypracowaniu polskości Śląska w świetle historii języka i kultury, pomyślano na szeroką skalę wydział humanistyczny. **Humanistyka winna być fasadą śląskiej Wszechnicy. Nasz ośrodek naukowy ma za zadanie przede wszystkim wydobyć na jaw prawdę, że powrót nasz na zachód jest powrotem do rodzinnego gniazda, z którego nas brutalnie wyrzucono.** Prawdę tę musimy uświadomić i opinii zagranicznej i własnemu społeczeństwu. Istnieją bowiem jeszcze ludzie małego serca, lub ludzie sprowadzeni na bezdroża myśli politycznej przez wrogą interesom państwa propagandę, którzy wahają się z podjęciem decyzji powrotu na Ziemie Odzyskane. Ludzie ci zapominają o jednym: żołnierz nasz ponosi ofiarę krwi i życia dla wyzwolenia obecnych granic Polski w rozprawie orężnej. Utrwalenie się nasze tutaj będzie wynikiem dalszej wojny, ale prowadzonej nie z bronią w ręku, lecz wojny cywilnej, w której robotnik, chłop i inteligent jest żołnierzem. Tych żołnierzy nie obejmuje wprawdzie rozkaz przymusowej mobilizacji, ale obowiązek walki ich o utrwalenie naszego bytu tutaj jest równie święty, jak obowiązek naszego wojska polskiego.

W jesieni, dnia 14-go listopada 1945 roku przed nadejściem zimy, która przejmowała nas grozą w obliczu braku węgla i szyb, otworzyliśmy Uniwersytet i Politechnikę. Zainaugurował te wykłady senior profesor Politechniki prof. Kazimierz Idaszewski. Uruchomiliśmy obie uczelnie w składzie bogatszym o wydział weterynaryjny i oddział farmaceutyczny. Praca z początku była ciężka. Młodzież spragniona wiedzy, zagrzewała słowem profesorów zapominała, że sale wykładowe są nieopalone. Skupiliśmy mimo tych ciężkich warunków około 3.500 młodzieży, dając jej warunki studiów ciężkie, ale lepsze niż w wielu innych uczelniach wyższych. Obecnie wykłada 84 zwyczajnych i nadzwyczajnych profesorów, którym pomaga w pracy 315 adiunktów i asystentów.

Według poszczególnych wydziałów układają się dane statystyczne w sposób następujący: Wydział humanistyczny liczy 24 profesorów, 5 wykładowców, 14 lektorów, 41 sił pomocniczych naukowych i studentów — 236. Kieruje nim dziekan Kowalski. Wydział lekarski, który montował prof. Hirschfeld, obsługuje łącznie z wydziałem weterynaryjnym, prowadzonym przez dziekana Markowskiego, 28 profesorów, 142 asystentów. Studentów liczą obydwa wydziały lekarskie 1050. Wydział prawa w 18 katedrach ma 12 profesorów, 2 wykładowców oraz 23 pomocnicze siły naukowe, studentów 757, w tym na I-szym roku 533. Zorganizował go dziekan Stefko. Wydział nauk przyrodniczych, kierowany przez dziekana Sembrata liczy 9 profesorów, 22 asystentów i 152 studentów. Wydział ten najbardziej dotknięty jest wojną i pracuje w niezmiernie ciężkich warunkach. Wydział rolniczy zorganizowany przez dziekana Świętochowskiego liczy 149 studentów. Czynne są 4 wydziały politechniczne, organizowane przez prorektora Suchardę. Wydział inżynierii pod kierunkiem dziekana Wróbla, wydział elektryczno-mechaniczny pod kierunkiem dziekana Idaszewskiego, wydział chemii technicznej pod kierunkiem prorektora i wydział hutniczy pod kierunkiem dziekana Zwierzyckiego. Wydziały politechniczne liczą łącznie 735 słuchaczy, w tym 697 słuchaczy I-go roku, a tylko 38 słuchaczy lat wyższych. Wydziały politechniczne uruchomione zostały w roku bieżącym, z wyjątkiem oddziału elektrotechnicznego tylko dla I-go roku. Ostatni z 11 wydział matematyki, fizyki i chemii, kierowany przez dziekana Steinhausa liczy 130 studentów własnych i obsługuje swymi wykładami ogół przyrodniczych i technicznych wydziałów pozostałych. Ilość profesorów na wydziałach politechnicznych wraz z wydziałem ogólnym wynosi 22, sił pomocniczo-naukowych 69.

IV.

Opiekę nad młodzieżą roztoczyliśmy dostarczając jej za pośrednictwem Bratniej Pomocy domów akademickich, w których mieszka około 700 osób. Stołówki studenckie wydają dziennie około 800 obiadów. Akademicka spółdzielnia aprowizacyjna przewiduje około 1.500 studentów. Młodzież nasza, pracująca w trudnych warunkach włożyła również wysiłek pracy nie tylko w urządzenie swoich siedzib, ale także w odbudowę Uniwersytetu i Politechniki, a to przez zorganizowanie na długo przed rozpoczęciem wykładów straży akademickiej, która przez długi okres jesieni, a także i po dziś dzień ochrania obiekty naukowe i szkolne. Ambicją naszą jest, ażeby nasze wydziały wykształciły po kilku latach pracy odpowiednią ilość kadr nauczycielskich, lekarskich, inżynierskich, które przyczyniły by się do dzieła odbudowy i zagospodarowania Śląska.

Prace Uniwersytetu podpiera i uzupełnia 12 towarzystw naukowych, zorganizowanych na terenie Wrocławia. Czynne jest Tow. Matematyczne, Tow. Przyrodników im. Kopernika, Tow. Lekarskie, Tow. Geograficzne, Tow. Archeologiczne, Tow. Historyczne, Tow. Literackie im Adama Mickiewicza, Tow. Miłośników Języka Polskiego i inne. Zorganizowano też towarzystwo naukowe z wydziałami: filologicznym, nauk społecznych, historyczno-filozoficznym, przyrodniczym, lekarskim, technicznym. Członkami założycielami towarzystwa są pracujący we Wrocławiu członkowie P. Akademii Umiejętności i Towarzystw Naukowych lwowskiego i warszawskiego.

Z myślą o akcji naukowo-wydawniczej zorganizowaliśmy także mało zasobną w środki, ale już czynną drukarnię uniwersytecką.

Rozumiejąc doniosłość popularyzacji wiedzy w najlepszym tego słowa znaczeniu, zwłaszcza wiedzy o Śląsku, zorganizowaliśmy powszechne wykłady uniwersyteckie politechniczne dla szerokiej publiczności.

Uniwersytet przestaje być zamkniętym od świata przybytkiem wiedzy, lecz szuka zbliżenia ze społeczeństwem, z szerokimi sferami. Tak pojęta demokratyzacja nauki powinna dać pożądane owoce. **W życiu pozanaukowym przykładem zbliżenia nauki i świata pracy jest współżycie profesorów i robotników w uniwersytecko-robotniczej kolonii w Oporowie, gdzie 75 % domów należy do uniwersytetu, a 25 % do robotników fabryki obrabiarek.**

Niestety ponieśliśmy już i bolesne straty przez śmierć 3 wybitnych profesorów: prof. Pilatowej, Becka i Oszackiego, dwóch asystentów i kilkunastu rannych w akcji współpracowników.

Wrocławskie uczelnie wyższe startują dzisiaj w przyszłość. Przyszłość ta może być wielka, wspaniała, może być mierna i słaba. Wszystko zależy od tego, jaką potrafimy we wrocławskie uczelnie tchnąć duszę. Jaki dla uczelni naszych potrafimy wywalczyć autorytet. **Duszą uczelni wyższych nie jest ani młodzież, ani profesor. Duszą ich jest uczony. Życiodajnym tętnem uczelni nie jest praca dydaktyczna, tętniąca już od roku we Wrocławiu, ale żywa, dynamiczna, wszechstronna i własna twórczość naukowa.** Dostojeństwem uczelni wyższych jest powaga i poczucie odpowiedzialności za prawdę, jaką tworzymy i jaką do wierzenia podajemy. Odpowiedzialność uczonego jest niezwykle trudna. **Służymy bowiem jednej, wielkiej, ale nieosiągalnej w swej nieskończoności idei prawdy.** Zbliżamy się do niej w nieustannym trudzie poprzez coraz doskonalsze, ale zawsze niedoskonałe aproksymacje, wśród ustawicznego zwątpienia i świadomości własnej niedoskonałości, i niedoskonałości prawd, które tworzymy i do wierzenia podajemy. Społeczeństwo zaś szuka i domaga się prawdy pewnej, aby w oparciu o nią móc działać i pragnie w prawdę naukową wierzyć. Od obwiązku tworzenia prawdy naukowej, mimo naszej wątpliwości nie wolno nam się uchylić, a z drugiej strony wiary społeczeństwa w wartość prawdy naukowej nie wolno nam nadużyć. Oto przyczyny, dla której twórczość naukowa wymaga powagi i charakteru, i pozycję uczonego uczyni trudną i odpowiedzialną.

Obowiązki uczonego wobec nauki i społeczeństwa określają jednocześnie obowiązki młodzieży wobec uczelni. Młodzież winna pamiętać, że uczelnia wyższa nie jest rodzajem sklepu, w którym posiadacze wiedzy sprzedają ją tym, którzy jej poszukują. Uczelnie wyższe są miejscem kultu, kultu idei prawdy nieosiągalnej w swej doskonałości, do której zbliżamy się w trudzie i znoju. Młodzież winna pamiętać, że w kulcie tym czerpie siły nie tylko uczony badacz, ale i młody umysł, przychodzący do uczelni po wyższe wykształcenie. Młodzież winna pamiętać, że kult dla idei prawdy jest jedyną więźbą, jednoczącą uczonego i młodzieńca we wspólnotę akademicką, że kultu tego i wynikającej zeń więźby nie zastąpi kult dla żadnej gotowej prawdy naukowej, czy politycznej w swej gotowości niedoskonałej. Młodzież winna pamiętać, że służba dla idei prawdy nakłada i na nią część odpowiedzialności za los akdemickich szkół wrocławskich, startujących dzisiaj w przyszłość, oby tak świetną, jak przeszłość starszych jej siostrzyc.

Quod felix faustum fortunatumque sit.

Aleksander Widera

Powstańcy

Złota dziewczyna na białym krześle
z białoczerwonej powstańczej pieśni
myśli urzeka, oczy nam pieści,
słodko nam pieści słuch.
Dziewczyna jak ten kwiat urodziwa
we krwi sztandaru orła wyszywa,
orła białego, orła białego
z marzenia albo ze śniegu.

Idą powstańcy, idą powstańcy,
wiatr poloneza szumi i tańczy,
idą szeroko, idą wysoko,
idą powstańcy, cześć im cześć!
Idą zawzięci, zwarci jak pięści,
idą powstańcy, za nimi szczęście,
gubią za sobą pieśń.

Śląsk po kominach drapie się w niebo,
pochód powstańczy drapie się w niebo,
a w słońcu, które grzeje i świeci,
Polska wychodzi naprzeciw.
Z nieba się nadół w świetle opuszcza
na białe czoła, czerwone usta,
na nasze oczy, na nasze sny
deszczem słonecznym mży.

Płyną sztandary, na sztandarach
płynie nadzieja, miłość i wiara
i niepodległy wieje wiatr.
Idą powstańcy, idą powstańcy,
wiatr poloneza szumi i tańczy,
idą po ziemi, idą po niebie,
idą pod wiatr, pod wiatr.
Słonko im jasne, słonko jasne
z pieśni powstańczej, właśnie, właśnie,
pieści policzki, pieści usta,
pieści im złote sny.
Idą powstańcy, idą, idą,
wstążki przypinać inwalidom —
godzinom, które wraży wróg
pozbawił rąk lub nóg.

Ulice miasta są jak linie dłoni,
po których wróżba szła po własny koniec
nieubłaganie, wiernie, uparcie,
aż zwarta przeszła w natarcie.

Tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy
echem się w salwach przypomniał.
Salwy otwarły jak nowe wiersze
krajobraz nowy, dzisiejszy.

Z pieśni powstańczej śmieje się do mnie
dziewczyna złota jak płomień.

Czesław Ufnalewski

Rozmowy z Księżmi Biskupami

Prastare polskie miasto Opole, twierdza polskości, ośrodek walki duchowej z germanizmem — miasto, w którym słowo polskie drukowane w historycznych „Nowinach Opolskich" rozchodziło się po całym Śląsku Opolskim, Opole — stolica

Ks. Biskup dr Kominek — Opole

duchowa 800-tysięcznej masy naszych rodaków żyjących pod butem hitlerowskim — jest dziś siedzibą kurii biskupiej, siedzibą pierwszego polskiego Adminstratora Apostolskiego ks. d-ra Kominka.

Ks. dr. Kominek wita mnie bardzo uprzejmie i chętnie odpowiada na zadawane pytania.

— Kiedy Ks. Biskup objął diecezję?

— Diecezję opolską objąłem w dniu 1-go września 1945 r. na podstawie dekretu J. E. Ks. Prymasa Augusta Hlonda, który działał z polecenia Stolicy Apostolskiej. Ingres odbył się 9. września przy bardzo licznym udziale ludności polskiej z okolicznych wsi i miasta Opola. Na ingresie było 12 procesji przy udziale około 30 tysięcy wiernych.

— Jaki stan istniał w diecezji w chwili obejmowania jej przez Ks. Biskupa?

— Na skutek tego, że administracja polska była częścią składową archidiecezji wrocławskiej, trzeba było organizować zręby nowej diecezji od podstaw. Z dawniejszej diecezji wrocławskiej nie otrzymałem żadnych podkładów ani środków materialnych. J. E. Ks. Prymas Hlond przyłączył równocześnie do nowej administracji powiat głąbczyński, który należał do Śląska Opolskiego, ale kościelnie do diecezji Ołomunieckiej — w Czechach.

Ilość parafii wynosi 434, wiernych w chwili obecnej na podstawie ostatniego spisu ludności — milion 200 tysięcy — w tym Niemców, zwłaszcza w powiatach zachodnich, zupełnie niegdyś zniemczonych — około 150 tysięcy — reszta, to Polacy tutejsi zweryfikowani, wzgl. przybyli ze wszystkich stron Polski w liczbie około 200 tysięcy. Na terenie obecnej administracji, za czasów niemieckich pracowało około 600 księży świeckich i zakonnych — liczba ta mniej więcej pozostała, z tym jednak, że nastąpiły poważne przesunięcia narodowościowe wśród kleru. Ubyło z dotychczasowego kleru około 200 księży narodowości niemieckiej — reszta to księża zweryfikowani, przy czym weryfikację w stosunku do kleru i osób zakonnych stosuje się szczególnie ostro. Ci, którzy zostaną, niewątpliwie są pochodzenia polskiego i w czasie okupacji niemieckiej nie popełnili żadnych czynów godzących w stan posiadania polskiego, w wielu wypadkach byli usuwani i szykanowani przez władze hitlerowskie.

Nowoprzybyłych z terenów centralnej Polski i ze wschodu księży liczymy około 210 — spodziewany jest dalszy przyjazd; **około 60 księży może znaleźć bezzwłocznie miejsce w naszej diecezji.**

Wychowanie młodzieży szkół średnich i powszechnych leży niemal wyłącznie w rękach katechetów z Polski centralnej. Nauka religii w szkołach średnich i powszechnych odbywa się na tych samych przepisach co w reszcie kraju — z tym, że w wielu szkołach nauczycielstwo świeckie pomaga w nauczaniu religii — z powodu braku polskich księży-katechetów. W powiecie głąbczyckim w obecnej chwili pracuje około 50 księży niemieckich, a tylko 12 polskich, chociaż liczba ludności niemieckiej i polskiej jest identyczna, gdyż nie były tam przeprowadzane wysiedlania.

Jaka jest sytuacja zakonów?

Zakony męskie podlegają już w zupełności polskim władzom zakonnym, np. Jezuici, Redemptoryści i Franciszkanie otrzymali już polskiego komisarza zakonnego, który rezyduje we Wrocławiu. Z Opola wszyscy niemieccy Jezuici wyjechali — objęli po nich placówki Jezuici polscy ze wschodu — z innych zakonów zostali już zweryfikowani, względnie wyjechali, bądź wyjeżdżają nadal, jeżeli są narodowości niemieckiej.

Żeńskie zakony mają po części jeszcze swoje domy centralne niemieckie we Wrocławiu — zamianowaliśmy dla nich specjalnych księży wizytatorów, Polaków, których zadanie polega na czuwaniu, aby i one dostosowały się do nowej polskiej rzeczywistości. Napływają w dalszym ciągu polskie zakony ze wschodu — i tak Dominikanie objęli duszpasterstwo w Prądniku i Raciborzu, misjonarze z Krakowa w Grodkowie, Palotyni z Warszawy są w Gliwicach, Marianie z Warszawy w Głuchołazach.

— Jak przedstawia się sytuacja napisów w kościołach i na cmentarzach?

— Władze świeckie wydały bardzo stanowcze zarządzenie odnośnie usuwania napisów niemieckich, napisów, których zresztą na terenie administracji jest bardzo mało już w tej chwili, zostaną one jednak usunięte całkowicie. Specjalnie zważamy, aby usunięto te napisy, które prowokowały uczucia narodowe Polaków. Oprócz tego władze świeckie wydały rozporządzenie, znoszące śpiew i kazania niemieckie. Na terenie plebiscytowym od długich miesięcy nie odbyło się żadne nabożeństwo niemieckie — tam, gdzie jest jeszcze ludność niemiecka na terenie powiatów zachodnich, nie przeszkadza się Niemcom praktyk duszpasterskich, póki jeszcze znajdują się Niemcy na tych terenach.

— Jak zachowują się Niemcy w stosunku do polskich księży?

— Na ogół poprawnie, choć zdarzają się wypadki zrywania polskich ogłoszeń z drzwi kościelnych, ale żadnych napaści na księży polskich nie było. Polskie władze uważają za swój święty obowiązek naprawienie krzywd kościelnych, które tu popełniono na ludności polskiej, zwłaszcza w stosunku do używania języka ojczystego. Zasadniczo stosują metody chrześcijańskie w stosunku do Niemców dotąd, dopóki się tu znajdują — jeżeli jednak spotkam się z wybrykami szowinizmu niemieckiego — nie myślę ich pokrywać autorytetem kościoła.

I tak n. p. w Kłodnicy znajdował się w grupie figur na głównym ołtarzu żołnierz niemiecki w pełnym rynsztunku. Proboszcz miejscowy pomimo bardzo stanowczego nakazu nie chciał go usunąć. Na skutek i innych podobnych przejawów jego nastawienia antypolskiego musiał opuścić parafię i teren Polski, żołnierz został usunięty przez następcę, księdza-Polaka i jestem głęboko przekonany, że ołtarz na tym nie ucierpiał.

— Jaką Ks. Administrator zainicjował akcję uświadamiania wiernych Polaków?

— Staramy się w pierwszym rzędzie zaspokoić głód książki polskiej. W tym

Ks. Biskup dr Milik — Wrocław.

celu wydaliśmy drobniejsze publikacje o masowym nakładzie. Są to: Kolędy polskie (na czas gwiazdkowy), Gorzkie Żale, Droga Krzyżowa i Pieśni Postne, Pieśni Wielkanocne, a ostatnio wyszedł zbiorek pieśni polskich mariańskich — wierni Polacy rozchwytują te wydawnictwa.

Reasumując ogólnie sytuację spolszczenia kościoła katolickiego na Śląsku Opolskim, uważam, że w tej dziedzinie jest duży postęp i sądzę, że najbliższy okres pracy przyniesie dalsze dobre wyniki. Nie trzeba zapominać, że trudno coś odrobić w jednym roku, jeżeli 600 lat pracowano w przeciwnym kierunku.

MÓWI BISKUP WROCŁAWSKI

J. E. Ks. dr. Karola Milika, Administratora Diecezji Wrocławskiej, zastajemy w chwili czytania prasy katolickiej Właśnie przeglądał notatki o swej działalności przedstawione w prasie angielskiej, a odpowiednio skomentowane swego czasu przez „Odrę". Ks. dr. Milik wita mnie serdecznie i pyta o Warszawę, w której ukrywał się przez 5 i pół lat przed gestapo, występując pod nazwiskiem Bargieł Józef. Przyczyna? — Bardzo prosta — z ramienia Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu ks. dr. Milik wydał kartkę pocztową, na której granice Polski... znajdowały się nad Odrą i Nysą — to wystarczyło. Zapuścił brodę i wąsy, nosił okulary...

— Byłem tak świetnie ucharakteryzowany, że jeden z moich współpracowników sprzed wojny — pytał się mnie, czy nie wiem, gdzie się podziewa... ks. dr. Milik...

J. E. Ks. Biskup Milik sprawuje „rządy dusz" od 1-go września 1945 r. mianowany przez J. E. Ks. Kardynała Hlonda.

W chwili obejmowania diecezji było tu już 400 tysięcy Polaków, a księży polskich tylko... 50, niemieckich 546. Te dwie cyfry mówią o opłakanej sytuacji, bowiem brak polskich księży, którzy by mogli żywym słowem trafić do duszy, odbijał się fatalnie na życiu religijnym i narodowym. Ze wszystkich zakątków Dolnego Śląska od chwili jego wyzwolenia aż po dzień dzisiejszy słychać wzruszające wołanie o kapłanów-Polaków. Chociaż dziś już jest 275 księży Polaków, to jednak porównując tę małą cyfrę z liczbą katolików-Polaków, wykazaną w spisie ludności z dnia 1. marca 1946 r., a wynoszącą 755.752, jest to ilość księży Polaków katastrofalnie niewystarczająca. Jeden duszpasterz-Polak przypada w zaokrągleniu na 3000 dusz polskich.

Przy uniwersytecie wrocławskim.

— Ile jest w tej chwili parafii na Dolnym Śląsku?

— Parafii jest w tej chwili 525, a więc biorąc pod uwagę ilość księży-Polaków, wynoszącą, jak podałem wyżej 275 kapłanów — 250 parafii jest zupełnie pozbawionych polskich księży, pomimo, że w tych parafiach mieszka już dużo Polaków.

— Czemu przypisać taki brak księży-Polaków?

— Głównie wymordowaniu księży-Polaków, o czym nie raz wspominał Ojciec Święty. Poza tym brak jeszcze młodego narybku. Właśnie dzisiaj otrzymałem radosną wiadomość od P. U. R., że w najbliższych dniach przyjeżdża 150 księży z arcybiskupem Baziakiem na czele ze Lwowa — do Wrocławia.

Bezwłocznie przystąpiliśmy do układania list nominacyjnych, celem obsadzenia parafii w naszej diecezji.

— Jaka jest sytuacja zakonów?

— Polskich zakonów oczywiście przed 1939 rokiem tu nie było — obecnie jest ich 10, klasztorów 44, niemieckich zakonów 17, prócz tego większa ilość domów klasztornych.

— Czym tłumaczyć stosunkowo dużą liczbę napisów niemieckich, które znajdują się w kościołach?

— Polscy księża mają obowiązek zamieszczania w języku polskim napisów informujących o przejawach życia kościelnego i religijnego. Brak księży polskich powoduje, że w wielu kościołach znajdują się jeszcze napisy niemieckie. Jeżeli chodzi o akcję uświadamiającą, o akcję popularyzacji polskiego słowa, to natrafiamy na duże trudności. **Nie otrzymaliśmy do tej pory przydziału papieru,** pomimo tego Administracja Apostolska we Wrocławiu wydała modlitwy na Wielki Post, a obecnie zbiorek pieśni i modlitw p. t. Śpiewajmy Panu, oprócz tych wydawnictw na maszynie znajdują się „Pomoce Liturgiczne" dla duszpasterzy polskich.

— Czemu przypisuje Ks. Biskup wystąpienia dzienników angielskich, jakoby akcja polskich duszpasterzy na terenie Dolnego Śląska i Śląska Opolskiego miała charakter szowinistyczny i nie licowała z kulturą polską?

— Tylko złej woli i brakowi poczucia odpowiedzialności ze strony niektórych księży niemieckich, opuszczających przymusowo teren diecezji Wrocławskiej i Opolskiej. Długo nie wiedziałem, gdzie znajduje się ośrodek dyspozycyjny tej akcji. Dowiedziałem się, szczerze mówiąc, z prasy katolickiej, cytującej zarzuty szowinizmu, opublikowane przez „Chatolic Herald", że ośrodkiem tym jest miejscowość Regensburg, a autorem niemiecki ksiądz Alfred Schulz, który wydaje powielaną gazetę. Oczywiście te akty nieprzyjazne wobec nas i wobec Polski są naturalne; trudno, żeby było inaczej, skoro księży niemieckich władze polskie wysiedlają i wysiedlać będą nadal. O ile mnie informują księża niemieccy z mojej diecezji, akcja repatriacyjna odbywa się według wszelkich zasad humanitarnych.. Dodać jeszcze muszę, że według statystyki z 1939 roku na terenie archidiecezji wrocławskiej było 850 tysięcy katolików niemieckich, a dziś jest 755 tysięcy katolików Polaków. Potrzeba nam księży, księży i jeszcze raz księży, aby Polacy wierni mieli swoich kapłanów, a parafie objęli polscy księża, zajmując miejsca księży niemieckich, którzy razem z wiernymi niemieckimi zostaną przez polskie władze repatriowani do Rzeszy Niemieckiej. Sądzę, że na zakończenie naszej rozmowy zainteresuje czytelników „Odry" nasze nowe wydawnictwo. Jest to mianowicie „Katechizm Katolicki" dla Archidiecezji Wrocławskiej. Słowo wstępne do tego „Katechizmu" napisał zmarły już katolicki arcybiskup wrocławski Kardynał Bertram. Katechizm wydany był dla dzieci polskich. Oto niżej zamieszczone słowo wstępne Ks. Kazimierza Laposza, które wyjaśnia przyczyny umieszczenia przedmowy Ks. Bertrama.

Za zezwoleniem Administratora Apostolskiego rzucamy w szerokie sfery społeczeństwa „Katechizm Katolicki dla Archidiecezji Wrocławskiej".

Historia tego wydawnictwa jest ciekawa. Właściciel drukarni Nischkowskiego, w której drukowano książki w języku polskim, wydrukował na zlecenie Ordynariatu Wrocławskiego 5000-czny nakład katechizmu. Niestety rządy hitlerowskie nie pozwoliły na ukazanie się „Katechizmu". Wydawnictwo leżało przez 15 lat w magazynie drukarni i mimo pożaru zostało w całości uratowane.

Słowo wstępne zmarłego Ks. Kardynała Bertrama zachowaliśmy celowo. Jest to bowiem dokument o znaczeniu historycznym, świadczący bardzo wymownie, że element polski już tutaj istniał, że nie jesteśmy jako naród żywiołem obcym, napływowym.

Są tu mianowicie polskie dzieci, dla których zmarły Dostojnik Kościoła uważał za stosowne wydać niniejszy katechizm w języku dla nich zrozumiałym, a więc ojczystym!

Opatrzność Boża zrządziła, żeby jedną z pierwszych książek, które się ukazały na terenie polskiego Śląska, był właśnie polski katechizm — ta najpierwsza i najważniejsza książka dla odrodzenia i zespolenia z Macierzą na zawsze prastarej piastowskiej ziemicy.

Wrocław, w czerwcu 1945 r.

Tyle mówią „rządcy dusz" na Śląsku Opolskim i Śląsku Dolnym. Dużo mówią wyżej zamieszczone dokumenty, ale myliłby się, kto by sądził, że zabronione wydawnictwa katechizmu dla dzieci polskich na Śląsku Dolnym miało być końcowym etapem prześladowań polskości ludu tu zamieszkałego. Ten kto miał możność przekonać się o gehennie 800 tysięcy Polaków żyjących na Śląsku Opolskim pod rządami Hitlera, ten wie doskonale, jak wyglądał niesłychany terror, stosowany do naszych braci. Podczas gdy na terenie Górnego Śląska odprawiały się nabożeństwa w języku niemieckim dla Niemców, gdy wychodziły pisma religijne w języku niemieckim, gdy szkoły niemieckie kształciły przyszłych morderców Narodu Polskiego, Śląsk Opolski jęczał pod batogiem hitlerowskim i daremnie wstrząsał sumieniami świata. Skasowano polskie nabożeństwa, skasowano polski śpiew w kościołach, księży polskich zamknięto w obozach koncentracyjnych, usunięto raz na zawsze słowo polskie ze szkoły, bito i znęcano się jeżeli ktoś używał głośno polskiego języka. Miałem możność osobiście przekonać się o metodach, stosowanych przez hitlerowców z racji swego zawodu. Wysyłany kilkakrotnie przez jeden z dzienników warszawskich na teren Śląska Opolskiego w charakterze sprawozdawcy, pisałem jak umiałem, wzywając na alarm... ale nie znajdowało to właściwego echa.

Pewnego razu we wsi opolskiej byłem świadkiem następującego zajścia: W niedzielę rano odprawiono Mszę św. w kościele, gdy nagle głośno ktoś zaintonował: „Kto się w opiekę odda Panu swemu". Dosłownie jak z podziemi wyrośli gestapowcy i SS-mani. Weszli w czapkach i nakazali wyjść z kościoła, aresztując księdza. Tłum rozszedł się spokojnie. Z racji kontaktów z przedstawicielami Związku Polaków w Opolu, zostałem zaproszony na... nabożeństwo domowe. We wiejskiej chałupie zebrało się kilkunastu mężczyzn i kobiety. Właścicielka domu mówiąca najpiękniejszym językiem Kochanowskiego, podeszła nagle do rogu izby, odsunęła z podłogi jakiś kawałek drewna i wyjęła... obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz ustawiono na komodzie, zapalono świece i rozpoczęło się nabożeństwo... Nie zapomnę go do śmierci. W najbardziej poważnej świątyni nie doznałem takich wzruszeń jak wówczas, gdy zaintonowano „Pod Twoją Obronę" — po cichu, śpiewaną prawie szeptem, tu i ówdzie błysnęła łza w oku, a skurcz chwytał za gardło niejednego uczestnika tego nabożeństwa.

Wystawione czujki pilnowały chałupy przed gestapowcami.

Tak modlił się lud polski na Opolszczyźnie — tak przeżył sześć wieków fali germanizacyjnej i 12 lat krwawych rządów Hitlera. Dziś polscy biskupi rezydują we Wrocławiu i Opolu — dziś Orzeł Polski króluje tu wszechwładnie. Dziś lud polski głośno i bez strachu może modlić się i żyć po polsku.

Przeżywamy wielki, historyczny moment. Może nie każdy zdaje sobie z tego sprawę, że na przestrzeni wieków żadne pokolenie polskie nie miało tak wielkiej misji do spełnienia, jaką nam żyjącym obecnie wyznaczyła Opatrzność.

Już wkrótce przystąpimy do ogłaszania zdjęć i tekstów

naszego wielkiego konkursu

pod hasłem:

»Poznajemy Ziemie Odzyskane«

Bogate nagrody!

Helena Wielowieyska

Książka o śmierci

Powieść „Droga do domu" Jerzego Zawieyskiego, to najdziwniejsza, najtrudniejsza książka, którą zdarzyło mi się przeczytać w ostatnich czasach. To również najkonsekwentniej doprowadzone do końca zadanie, które postawił sobie artysta. Żeby napisać o niej artykuł krytyczny, trzeba być filozofem i teoretykiem literatury. Żeby móc w pełni docenić ją jako dzieło artysty, trzeba być intelektualistą. Bo „Droga do domu" wymaga przygotowania, solidnego i wszechstronnego wykształcenia. Ktoś, nie posiadający go znudzi się i zmęczy zanim zrozumie treść książki. Mój felieton, który będzie tylko zbiorem luźnych uwag nie ma pretensji krytycznych.

Jeżeli przystępuję do zarejestrowania paru myśli, które nasunęła mi lektura tej książki — to przede wszystkim w celu sprowokowania wypowiedzi, które określą stanowisko filozoficzne i zanalizują ten nowy i trudny schemat powieści. Bo cóż jak nie krytyka ma zbliżać dzieło do odbiorcy? Ujawnienie magicznej, filozoficznej formułki będącej punktem wyjścia autora i zdemaskowanie schematu konstrukcyjnego książki uczyni ją przystępną dla większego grona czytelników, — uspołeczni ją.

ZASŁONY DYMNE

Jerzy Zawieyski wysoko ceni swojego czytelnika i nie ułatwia mu zadania. Przeciwnie. Recenzent, który „wącha" książkę, zamiast ją czytać i myśleć nad nią, może łatwo wpaść w sidła swojej lekkomyślności. Pierwsze narzucające się określenia, pierwsze „odkrycia" będą prawdopodobnie fałszywe. Dwie, bardzo narzucające się sprawy tyczące doktryny filozoficznej, którą książka ta ma reprezentować i konstrukcji powieści, to zasłony dymne, poza którymi ukrywają się sprawy naprawdę ważne.

Już pierwsze otwarcie książki naprowadza na ślad mylący: cytat z „Myśli" Pascala o człowieku, jako o myślącej trzcinie. Acha, myśli sobie czytelnik. Pisarstwo katolickie. Tygodnik Powszechny podrasowany Francją i jansenizmem, który w polskiej literaturze jest stałym azylem do którego chronią się pisarze katoliccy, o ile ich katolicyzm nie polega jedynie na wymienianiu imienia Boskiego nadaremno i antyszambrowaniu kruchcie.

Tymczasem nic podobnego. A raczej bardzo podobne, ale dostatecznie inne, żeby nie dało się podciągnąć pod dotychczas znane zjawiska literackie. Zawieyskiego nie interesują w „Drodze do domu" zagadnienia etyczne tylko ściśle filozoficzne i eschatologiczne. Problem, który stara się rozwiązać autor, to sprawa poznania. — Zjawiska, które analizuje, są wyłącznie zjawiskami psychologicznymi, o których mówi wprost, a nie za pośrednictwem przedstawianych zdarzeń, tj., ruchów, wypadków, jednym słowem działania. Mówi o nich językiem filozoficznym, bez przenośni. Stąd pochodzi „trudność" książki. Z niespotykanej dotychczas przewagi abstraktu nad kontrastem. Akcji poświęca miejsca bardzo mało (cała akcja rozgrywa się na płaszczyźnie psychologicznej). Opisowi zjawisk materialnych i przedmiotów, jeszcze mniej. Nie liczyłam wierszy poświęconych pejzażowi. Jest ich w każdym razie mniej niż zdarzyło mi się zauważyć w jakiejkolwiek innej powieści. Z konsekwencji, z jaką Zawieyski przeprowadza swój zamiar zajmowania się jedynie sprawami psychicznymi wynika drugi niebezpieczny zakręt, na którym może potknąć się lekkomyślny recenzent. Książka składa się z pamiętnika głównego bohatera z komentarza człowieka, który go odsyła spadkobiercy. Stąd można łatwo popełnić drugą pomyłkę, tyczącą tym razem rozpoznania konstrukcji powieści. Łatwo można zaliczyć ją do rodziny, bardzo nowoczesnej i bardzo nienowocześnie licznej, tych powieści, które pewne zdarzenia materialne ukazują jak gdyby z wielu stron naraz, naświetlają wielorako. Ale tematem „Drogi do świtu" nie są zjawiska materialne i komentator pamiętnika nie interesuje się nimi, tak samo, jak autor pamiętnika. Komentator spełnia tylko rolę recenzenta. Wzbogaca zapas naszych wiadomości o bohaterze i bohaterach pamiętnika. Jest to więc uzupełnienie, a nie deformacja czy wizja przeciwstawna.

Ktoś może wystąpić z zarzutem, że przeciwnie, Zawieyski przyjmuje koncepcję pascaloską człowieka i że prawda o Pawle, bohaterze powieści jest jednak odmienna w relacji komentatora, niż ta którą poznajemy z pamiętnika. Może to nawet udowodnić cytatami. Ale cytat z Pascala jest założeniem a nie wnioskiem. A drobne odchylenia w pojęciu o Pawle jakie ma komentator, nie są w książce ważne. Komentator przyznaje się do porażki: pamiętnik przekonał go do tej prawdy, którą podaje Paweł.

Koncepcja życia Pawła w relacji jego samego zwycięża. Zastanawiamy się jednak, czy nie dlatego, że Paweł jest tym, który nie żyje, a więc nie może jej zmienić. Według komentatora „w powszechnej prawidłowości zjawisk dopiero śmierć tłumaczy życie i stara się niejako dać odpowiedź, dlaczego ono było takie, nie inne. Wydaje nam się, że tylko wtedy, z tego oddalenia, rzeczy i zdarzenia stają się jasne i zrozumiałe."

KATALOG ŚMIERCI

Do takiego wniosku powinien dojść czytelnik pamiętnika i jego komentarza. W książce „Droga do domu" Zawieyski poświęca wiele stron opisom śmierci, lub wykrywaniu logicznych powiązań śmierci różnych osób z ich życiem. Śmierć jest punktem wyjścia do znalezienia właściwej treści życia poszczególnych bohaterów. Wystarczy przypomnieć pobyt w Bugodziękach Pawła: z księgi narodzin i śmierci swoich przodków chce odczytać prawdę o swoim ojcu, a w dalszej konsekwencji o sobie samym. Drugim ważnym momentem pamiętnika jest rozdział poświęcony doktorowi Bardyniowi, który „był nieodzowną figurą obrzędową podczas umierania" w swojej okolicy. Doktór Bardyn, psycholog i mistyk, odgadywał w umierających moment jakiejś szczytowej samowiedzy, w którym ukazywała się jego pacjentom prawda ich życia.

Paweł pisze swój pamiętnik, ażeby odkryć prawdę swojego życia, a poprzez nią sensu istnienia. Wynik, do którego doszedł jest tragiczny. „Było we mnie wtedy gorzkie poczucie ograniczoności naszego poznania, które nie sięga dalej, poza własne prawa, ukrócone przez bezmiar zjawisk, niedostępnych dla naszego umysłu". Człowiek jest słaby i bezbronny. Ujarzmił świat przez myśl, która również jest zawodna: „Wynosimy się ponad siebie i pragniemy stwarzać w sobie miarę prawd, z których każda jest względna". Drogi do domu nie ma. Nie ma jakiejś „całości" życia, konsekwencji. Istnienie nasze jest niepoznawalne. Do takich wniosków dochodzi w chwili największej jasności umysłu, w momencie niebezpieczeństwa życia — to jest w takiej chwili, jaką obserwował z naukową dociekliwością i mistyczną pasją dr. Bardyń.

„Droga do domu" to psychologiczny katalog różnych śmierci. Z niego, wybrać

Gustaw Morcinek

Nardelli z Varennes

(Ciąg dalszy)

Potem znowu wracaliśmy do pracy, znowu ustawieni w piątki, maszerujący w sposób żołnierski. „Kapo" znowu szedł obok nas i wymyślał nam, ciskał ordynarnymi obelgami, groził wyrzuceniem z pracy. Przed kuchnią stał już szef kuchni, „esman" o głupowatym wyrazie twarzy, w białym fartuchu, z furażerką zadartą na lewe ucho i patrzył. Czasem nas przepuścił w milczeniu, czasem coś mu do głowy strzeliło i wtedy zatrzymywał nas i zaczął nas rewidować. Szukał nam po kieszeniach papierosów, kawałków chleba, zapałek, scyzoryków. Czasem kazał nam ściągać buty. Czynił to wtedy, gdy deszcz padał. Zmuszał nas, żebyśmy stawali bosymi stopami w błocie, a gdy to wszyscy uczynili, odchodził z tym swoim głupkowatym uradowaniem na ptasiej twarzy. Czasem krzyczał na nas w dziwacznym narzeczu niemieckim, darł się przeraźliwie, a nikt z nas nie wiedział, o co mu chodzi.

Potem jeszcze wchodziliśmy do kartoflarni, musieliśmy pędem zbiegać do piwnicy po fartuchy i znowu biegiem pędzić na górę. I rozpoczynaliśmy pracę, trwającą do godziny siódmej wieczorem.

Przed kuchnią zieleniły się olbrzymie trawniki. Gdy trawa była już duża, koledzy zżęli ją i pozostawili w słońcu. Trawa schła, a kiedy wiatr zawiał przez otwarte okna do kartoflarni, sycił jej cuchnące wnętrze radosnym, słonecznym zapachem siana. Wtedy Nardelli podnosił głowę, pociągał nosem i mruczał do mnie:

— Słońce pachnie sianem!...

Nardelli był wciąż ponury, zamknięty w sobie. Mało ze mną rozmawiał, tylko mruczał coś do siebie i toczył kartofle w palcach. Był podobny do niedźwiedzia, którego przyprowadzili cyganie, on zaś usiadł na tylnych łapach i smęci się nad swoją dolą. Do kolegów również się nie odzywał. Czasem tylko wybuchał gniewem. Chodziło zawsze o drobną rzecz. Oto ktoś ze sąsiadów porwał mu duży kartofel spod ręki, ktoś cisnął obranym kartoflem do cebrzyka i brudna woda skropiła jego twarz, ktoś mu powiedział jakieś krzywe słowo. Wtedy Nardelli zaczynał kląć. Jego złożeczeń i klątwy lękali się wszyscy. Miał bowiem tak bogate zapasy przekleństw i wymyślań, tak bardzo obfite, i ciężkie i ponure, że przeciwnik, aczkolwiek z początku usiłował się osłaniać, potem milknął i słuchał przerażony czego mu Nardelli życzy. A Nardelli szalał. Jego sępie oczy płonęły gniewem, a jego słowa przemieniały się w kanciaste kamienie, ciskane z pasją w przeciwnika.

Potem uciszał się i znowu zamykał w sobie.

Wracał na blok obok mnie. Chód jego był ciężki, podobny do stąpań niedźwiedzia. Kołysał się niezdarnie, a jego ramiona, opuszczone do przodu ledwie, ledwie się ruszały. Jakby w dłoniach trzymał jakieś ciężary. I wciąż milczał.

Bywały jednak chwile, że następowała u niego przemiana. Wtedy oczy jego łagodniały, zasępiona twarz rozjaśniała się nieznacznie. Wiedziałem, że nadeszła chwila, w której musi się wypowiedzieć. Pociągał mnie wtedy za barak i zachęcał mnie, żebym usiadł na krawężniku. Na krawężniku nie było wolno siadać.

— Siadaj, pieronie jasny, a tamtych wszystkich kurdyplów miej w tyłku!...

Siadałem więc, a on zaczynał opowiadać. Mówił mi o swym domu, o żonie, o codziennych troskach rodzinnych i o swej Elzince. Elzinka zawsze była w jego opowiadaniu. Wiedziałem już wszystko o niej. Jak wygląda, jaki jej charakter, jaki jej codzienny tryb życia, jakie ma oczy i jakie serce, że uczy się grać na fortepianie, jakimi koleżankami przestaje, jak się uczy w szkole i jaka z niej bardzo kochana dziewczyna!... Jego Elzinka!...

Wspomnienia o Elzince przenosiły go w inny świat Zamykał się w nim, błędził w radosnym zamyśleniu po jego ogrojcach, przeżywał wtórnie radość z istnienia tamtego dziecka, sycił się jej wyobrażaną obecnością, serce jego, to wspaniałe a tak bardzo ponure serce tajało, równocześnie zaś przychodziła wtedy zawsze myśl o śmierci.

Kiedy po pierwszy raz zauważył, iż na dworze przed kuchnią leżą w słońcu pokosy trawy, i że „słońce pachnie sianem" — jak powiedział ,wtedy nadszedł okres, iż stale rozmawiał ze mną o Elzince. Długo, a potem wyciągał jej fotografię, ucałował tkliwie i znowu wsuwał za podszewkę marynarki. Całowanie fotografii Elzinki było zawsze zakończeniem rozmowy o niej, stało się jakimś wzniosłem rytuałem religijnym. Widział teraz swoje dziecko w słońcu na łące. Oto jego Elzinka biegnie i woła czegoś radośnie. Oto zbiera kwiaty i splata z nich wianek. W wianku są stokrotki i mniszki. Potem Elzinka nachyla się nad cichym stawkiem i w jego odbiciu kładzie sobie tamten wianek na czarne włosy. Innym znów razem idzie powoli przez łąkę i śpiewa.

— A ona ślicznie śpiewała! — zapewniał mnie kilka razy.

A oto znów innym razem grabi siano z matką lub pasie kozę. Koza jest brodata i przepada za Elzinką. Biega wszędy za nią, jak pies. A gdy się kto do Elzinki zbliży, koza nastawia rogi i rzuca się na niego. Czasem Elzinka kaprysi, a wtedy Nardelli mroczy się i nic nie mówi. To wystarczy! Elzinka rzuca mu się na szyję, przeprasza i całuje. Tylko zawsze powiada z wyrzutem, dlaczego tatuś tak rzadko się goli. Już ma całą twarz podrapaną.

Elzinka jest dobrym dzieckiem, Elzinka jest najlepszym dzieckiem na ziemi. Elzinka jest...

— Nie, nie mogę!... — wykrztusił znienacka.

— Czego nie możesz?

— Nie mogę... nie mogę!... Ja już mam życia dosyć, lecz dla niej tylko chciałbym doczekać się wolności i dla niej tylko wrócić... A widzisz, są u mnie takie okropne chwile, że widzę w nich śmierć... Uciekam przed nią i uciekam, i tak nieraz mi się wydaje, że ucieknę... A potem mi się znowu wydaje, że nie ucieknę!... Jestem jak ten zwierz zaszczuty... Nieraz tak myślę, gdyby tak móc usnąć z wieczorami i spać i spać, i zbudzić się dopiero, kiedy już będzie wolność...

— Wiesz — mówił znowu innym razem — nigdy się nie modliłem. Nie wiedziałem, czy jest Bóg czy go nie ma!... Co mnie to tam obchodzi!... A teraz idę do tego Boga i idę, a nie mogę dojść Jak myślisz, dojdę kiedy do Niego?... A jeżeli dojdę, pozwoli mi wrócić do Elzinki?... Do mojej najdroższej dziecinki!... — powtórzył już teraz namiętnym szeptem, trzymając w dłoniach jej fotografię i patrząc w nią z uwielbieniem

— No, powiedz! Jak myślisz o tym Bogu? — zwrócił się znowu do mnie z dziwną pokorą w głosie.

Lecz znowu nie doczekał się odpowiedzi, bo w tej samej chwili ukazał się „esman", doskoczył do nas i kilka razy kopnął za to, że siedzieliśmy na krawężniku. Nardelli zdążył przynajmniej wsunąć fotografię za podszewkę.

I kiedy teraz wracaliśmy, Nardelli klął tak strasznie, przeklinał „esmana", przeklinał wszystkich w oboize, pienił się i ciskał i co raz wyrzucał z siebie słowo złe i ciężkie, i krwawe, i ociekające brudem. i cuchnące nędzą ludzką.

— Cicho, Nardelli, cicho!.... — uciszaem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Drgnął pod jej dotknięciem i jął się uspokajać.

Zanim jednak stanęliśmy w szeregu, by odmaszerować do kartoflarni, wyjął szybko fotografię Elzinki i ucałował ją. Jakby na przeproszenie.

I znowu mijały dni i mijały, niczym nie przegradzane.

Nardelli powoli ulegał ogólnej psychozie. Jak z początku gwałtownie odrzucał od siebie myśli o śmierci, tak teraz wracał do nich bezwolnie i snuł je każdej godziny.

— Czy ty wiesz, ilu ludzi już tu skonało w tym przeklętym obozie? — zapytał mnie pewnego razu.

— Nie wiem...

— Ja też nie wiem, lecz wyobrażam sobie, jaka by to była armia szkieletów, gdyby tak wszyscy mogli w tej chwili powstać z tamtych prochów, wyrzuconych z krematorium i tak iść przez plac apelowy!... Widzisz ich?... Idą i idą piątkami, idą bez przerwy piątkami, idą bez końca piątkami, same szkielety i szkielety!... Idą godzinę, idą drugą, idą dziesiątą godzinę, a szkielety się nie kończą... Oh, idą, bez przerwy idą... Widzisz ich?...

— Skończże do jasnej cholery! — przerwałem mu brutalnie. Zaczynałem bowiem ulegać jego dziwacznej halucynacji. Wydawało mi się bowiem, że istotnie widzę

---

może obserwator pierwszą z brzegu: będzie ona niezmiennie kluczem do zrozumienia życia bohatera, niepoznawalnego dla siebie samego. Czytając tę książkę jesteśmy ustawicznie w kręgu zainteresowania śmiercią. Konstrukcja powieści przypomina schemat obrazka na pudełku: pani trzyma pudełko, na którym jest obrazek z panią trzymającą pudełko itd. Paweł, którego wyobraźnia dokonała już wyboru, którego uprzywilejowanym tematem jest śmierć, jako punkt wyjścia na drodze do odbudowania wizji czyjegoś życia ginie w chwili, kiedy pochyla się nad umierającym. Chce mu pomóc jako lekarz, jako człowiek? Czy też raczej ulega swojej pasji? Chce wydrzeć mu tajemnicę istnienia, sensu i prawdy jego życia zawartego integralnie w chwili śmierci. Tylko dzięki temu, że książka Zawieyskiego jest tak odległą od realizmu i skomplikowaną formalnie, nie jest makabryczna. Nie jest powieścią psychologiczną. Jest książką, w której nie ma realnych, poszczególnych bohaterów, tylko konstrukcje intelektualne stworzone przez autora. Bohaterami właściwymi są nie Paweł, Adam, Maria, Teresa. Tylko: drogi jakimi ludzie starają się dojść do poznania świata i życia. Nie interesuje nas co robią Paweł, Teresa itd. Ważne są tylko ich myśli. I śmierć nie interesuje tu ani autora „Drogi do domu" ani autora pamiętnika jako zjawisko fizyczne, tylko jako moment w którym zamyka się całe życie psychiczne człowieka.

CZAS

Stąd czas jest właściwie tylko trwaniem. I tu jeszcze raz objawia się logika konstrukcji powieści. Wstęp „Drogi do domu", jest napisany na końcu; to list, który Adam posyła do brata zamordowanego Pawła, ostatniego z rodziny. We wstępie tym zawiera się potencjalnie cały pamiętnik Pawła. On jest początkiem, od którego wychodzą wszystkie dalsze odgałęzienia jedynego problemu książki: sensu świata, którym jest trwanie, niedające się zrozumieć ani ująć w prawidła ludzkiego intelektu. „Bo choć jesteśmy miarą rzeczy, nie jesteśmy źródłem rzeczy, ani początkiem, ani końcem". I jeśli cokolwiek zrozumiałem przez ten proces odpoznawania życia, to chyba to jedynie, czym ono nie było".

Każda z konstrukcji psychologicznych czyli z bohaterów powieści Zawieyskiego inaczej doznaje czas i inaczej go definiuje. Najskrajniej Teresa, ta idealna istota, która jedyna z ukazanych osób była w zgodzie z rzeczywistością swojego istnienia. Była archeologiem. Sprawa, dla której chciała oddać życie była „wizją światów umarłych", mająca służyć życiu, które w jej pojmowaniu było „najwyższym dobrem". „Niegdyś", „dawno" a „teraz" było dla Teresy w pewnym sensie czymś bliskim, pomimo perspektyw tysięcy lub setek lat.

Ale Teresa jest w pewnym sensie ideałem: u niej bohater poszukujący prawdy o świecie, Paweł, konstatował tę jakąś zgodność, jedynie, która ma być ideałem człowieczeństwa, posiadającego już kamień filozoficzny poznania. W tym ujęciu czas nie istnieje: w każdym momencie życia sprawy człowieka są uwarunkowane poprzednimi zdarzeniami. Śmierć, moment końcowy tłumaczy dopiero ich właściwy sens, zakryty dotychczas dla „pacjenta".

DALSZE PERSPEKTYWY MATERIALIZMU

Czekam na kogoś, kto poprostu i jasno określi światopogląd filozoficzny Zawieyskiego na podstawie „Drogi do domu". Czy jest nim idealizm? Wydaje mi się że nie. Książka Zawieyskiego opisuje wyłącznie przeżycia psychiczne, ale w sposób jakim posługują się nauki przyrodnicze. Zawieyski stwarza pewne schematy zdarzeń psychicznych i opisuje je w różnych wersjach, tak jak przyrodnik prowadzący pamiętnik swoich doświadczeń. „Droga do domu" to droga, którą przebywa filozof szukający rozwiązania na dręczące go zagadnienie bytu. Znajduje ją przez poznanie swoich najbliższych i przede wszystkim siebie samego. Szukając prawdy o sobie napotyka na trudności bardziej zawiłe niż przyrodnik, który obraca się w świecie praw już zbadanych przez biologię i naukę o dziedziczności? „Księga narodzin i śmierci" przodków Tomasza z Bogudzięk powie mu niewiele, a niczego nie wytłumaczy z jego psychicznych przeżyć. Prawda, podobno dostępna Teresie, ułamkowa u Pawła, zakryta dla mistyka, Krysztofa, jest prawdą bezinteresowną, nie mającą dla życia praktycznej wartości. Ten sceptycyzm nie zaprzecza jednak wartości jego poszukiwań. Najciekawsze dla mnie momenty, to te, w których ukazuje się ścisły związek procesów psychicznych z fizycznymi. Ledwo naszkicowane aluzje zjawisk psychofizycznych, będących u podstawy zdarzeń w świecie materialnym i ludzkiej myśli: ciemna głąb życia, wykluczająca już różnienie światopoglądowe na materializm i idealizm .

NIE ROZUMIEM

Zawieyskiego interesują w „Drodze do domu" wyłącznie zagadnienia poznawcze, a nie etyczne. Powieść ta to szczyt intelektualizmu. Zawieyskiego nie interesuje człowiek jako istota czująca i cierpiąca, tylko jako istota myśląca. Ten myśli tak — a ten znowu inaczej. Autor nie operuje postaciami żyjącymi, tylko schematami intelektualnymi. Dlatego powołanie się na Pascala jest zasłoną dymną. Człowiek jest trzciną nie dlatego, że jego wola jest słaba, tylko dlatego, że jego zdolności poznawcze są zawodne. Idealnie czysty język, chłodna doskonałość i precyzja stylu, w którym z niespotykaną konsekwencją operuje natłokiem abstraktów również zbliżają koncepcję myślową Zawieyskiego bardziej do Descates'a, dla którego podstawą człowieczeństwa jest myślenie. Metoda jaką posługuje się w konstruowaniu swojej powieści jest typowo kartezjańska: podział głównego zagadnienia na drobne części, rozwiązywane po kolei: ojciec, Maria, Adam, Teresa i Krzysztof — to postacie — konstrukcje poprzez poznanie których dochodzi do samookreślenia się główny bohater — Paweł. Fragment końcowy życia każdego z nich i wielu jeszcze innych osób w książce, śmierć, to ten kartezjański ułamek problemu, który rozpoznany, daje przynajmniej jedną wiadomą w równaniu.

Powieść Zawieyskiego nie przemawia do serca tylko do rozumu. Porusza tylko motory intelektu. Jej styl, to idealnie gładki, pozbawiony barwy pas transmisyjny łączący mózg z umownym znakiem czarnej czcionki. Mądra, bogata i skomplikowana, jest przecież uboga. Oto drugi aspekt tej samej sprawy: wyobraźnia czytelnika pozbawiona podpórek jakimi są sprawy i przedmioty konkretne, pracuje jednostronnie. Satysfakcją, jaką ma się przy czytaniu tej książki jest zbliżona do przyjemności, jaką mamy przy rozwiązywaniu zadania matematycznego. Trudnego, ale doskonałego w swojej logice. Zimna, okrutna i pesymistyczna „Droga do domu", to książka tak odległa od życia, że żadna z opisanych w niej śmierci nie wzrusza. Jest w tym zamierzone majsterstwo. Śmierć Pawła, głównego bohatera i śmierć jego małych bratańców, o których nic nie wiemy to tylko pewne etapy jednej i tej samej gry intelektualnej, której niezmienne prawa ustalił raz na zawsze autor. Prawa, których nie da się ani powtórzyć, zanaśladować w innej książce, ani podważyć w „Drodze do domu".

nieprzejrzane szeregi szkieletów, idących w ordyku przez plac apelowy.

Nardelli zamilkł, chwilkę postał obok mnie, potem w milczeniu odszedł. Przez kilka dni nie rozmawialiśmy z sobą. Unikaliśmy w ogóle rozmowy. Lecz przez tych kilka dni i przez tych kilka nocy prześladowały mnie fragmenty z Saint Saensa „Taniec szkieletów". Nie mogłem się pozbyć tamtej muzyki. Strzępy jej krążyły uparcie w wspomnieniu, że raz po raz strzostrzegałem, że bezwiednie nucę jakiś fragment bez przerwy. We fragmencie przewijały się tańczące szkielety, kiwały się, klekotały piszczelami i żebrami, wiodły się za dłonie, błądziły, kołowały i znowu przesuwały się przed moimi oczami w takt nuconego bez końca fragmentu.

A równocześnie patrzyłem na Nardellego, jako na człowieka, który ucieka przed tamtymi majakami, a uciec nie może, gdyż podobny jest do króla Ludwika XVI, uciekającego przed nimi w karocy czarnej, jak wnętrze czaszki trupiej.

Potem uciszyliśmy się obydwaj.

II.

Pozbyłem się z wysiłkiem tamtych strzępów melodii, Nardelli zaś zaczynał ze mną rozmawiać. Z początku o rzeczach drobnych, codziennych. Słowa swe przegradzał soczystymi zwrotami i przekleństwami i to był dla mnie znak, że wyzbywa się swych halucynacyj.

— Otrzymałem list od żony! — ogłosił mi pewnego razu radosną nowinę. — A moja Elzinka dopisała się!... Popatrz się!...

Podał mi list. Na ostatniej stronie był dopisek dziewczyny. Litery były duże, niewyrobione jeszcze, pisane równo, prawie kaligraficznie.

— No, czytaj! — zachęcił mnie Nardelli. — Ale głośno!

„Mój najdroższy Tacinku! Codziennie modlę się do Boga, żeby miał ciebie w opiece i oto niedawno śniła mi się Matka Boża, ona mi powiedziała, żebyś się nie martwił, ponieważ ty wrócisz do nas kochany Tacinku najdroższy. Całuję się i pozdrawiam, kochany Tacinku twoja Elzinka."

Przeczytałem i podałem mu list. A on tymczasem trwał wciąż zasłuchany, z zamkniętymi oczami, jakby porwany jakimś radosnym widzeniem. A kiedy w końcu otworzył oczy i spojrzał na mnie, widziałem w nich gasnącą ekstazę. Nie były bowiem sępie i ponure, jak dotychczas, lecz prześwietlone od wewnątrz, jasne i łagodne.

— A wiesz, bo ja jej pisałem, że jestem przeznaczony do sanatorium! — rzekł jeszcze.

— Do jakiego sanatorium?

— Przecież wiesz!... Przed miesiącem nas wybierano!...

Bolesny kurcz ułapił moje serce.

Oto Nardelli łudzi się, że pójdzie z innymi wybranymi kolegami do sanatorium. Ja zaś nie wierzyłem w owo sanatorium. Oto pewnego dnia letniego, po południu spędzono cały obóz na plac apelowy. Było to przed kilku tygodniami. Nas z kartoflarni także wypędzono. Pobiegliśmy w fartuchach, brudni, zaintrygowani tak niezwykłym zdarzeniem. Po jednej stronie olbrzymiego placu apelowego ustawiali się już więźniowie z całego obozu. Przyłączyliśmy się do nich. Na środku placu, tuż koło masztu radiowego, stanęło kilku cywilów i kilku oficerów „esmańskich". Szef obozu, stary więzień polityczny, ganiał po placu, spocony i zzjajany, ustawiał nas, klął, kopał, bił po twarzy. W końcu tamci cywile dali znak i rozpoczęła się defilada, gęsiego, szybkim krokiem. Szliśmy po przekątni z jednego roku placu do drugiego. Tuż na kilkanaście kroków przed ową grupą cywilów i oficerów musieliśmy biec truchtem. A tamci patrzyli. Poboku stał pisarz obozowy z książką i ołówkiem. Jeden z cywilów co raz wskazał dłonią na przebiegającego więźnia, a pisarz doskakiwał do niego i zapisywał jego numer i nazwisko.

Zapisywano tylko starych więźniów, niedołężnych, kulawych, osłabionych, trzęsących się, słowem tych wszystkich, którzy nie potrafili biec równym krokiem, którzy się potykali czy ustawali w biegu.

I kiedy cały obóz przedefilował w ten sposób przed tamtą tajemniczą komisją, kiedy już wszyscy inwalidzi, starce, niedołęgi i potykające się chudzielce zostali zanotowani, komisja przeszła do lazaretu i jęła spisywać wszystkich suchotników, ciężej chorych i tych, którym odjęto w obozie rękę czy nogę.

Nikt z nas nie wiedział, w jakim celu dokonano selekcji. W każdym razie nikt z nas również nie przypuszczał, że wyniknie z tego coś dobrego dla wybranych kolegów. Po kilku dniach jęły się rozbiegać po obozie wieści, że wszyscy inwalidzi, chorzy, osłabieni i nie dożywieni będą przeniesieni do sanatorium w Alpach. W sanatorium zaś będą dokarmiani, będą otrzymywali mięso i mleko, nie będą pracować i będą się mogli przez cały dzień wylegiwać w słońcu.

I w tę wiadomość trudno było uwierzyć. Ponieważ jednak powtarzała się co raz uparciej, przynoszona z obozowej kancelarii, przeto jeden i drugi zaczynał w nią wierzyć.

Należał do nich Nardelli.

I on bowiem został wybrany do owego rzekomego sanatorium. Biegnąc bowiem przed komisją, kulał mocno, stąpał zaś tak ociężale i z takim wysiłkiem, jakby dźwigał wielki ciężar na plecach. I jego więc zapisano do tak zwanych inwalidów.

Z początku był tak samo niespokojny i spłoszony, jak wszyscy w obozie. Później jednak, kiedy jęły się rozchodzić wieści, że to ludzie, przeznaczeni na słodkie i słoneczne wywczasy do alpejskiego sanatorium, uwierzył skwapliwie. I odtąd wierzył mocno, aż do ostatniej chwili.

— Głupi jesteś — mawiał do mnie — ty myślisz, że to nie będzie sanatorium? A ja ci mówię, że będzie!...

Nie sprzeciwiałem mu się zbytnio, bo nie chciałem go niepokoić. Radziłem mu jednak, by robił starania o skreślenie go z listy. Nie chciał. A ja też nie posiadałem żadnego rzeczowego argumentu, by go przekonać.

— Ty mi, pieronie, zazdrościsz tego wyjazdu do sanatorium? — oburzył się na mnie pewnego razu.

— Nie zazdroszczę ci, lecz tyle ci tylko powiem, że nie wierzę w to wszystko. Tu się kryje coś podejrzanego!

— Głupiś! — mruczał i odchodził!

Mijały miesiące, minęło lato, minęła jesień, pojawiły się pierwsze śniegi i mrozy. Sprawa z wyjazdem inwalidów do sanatorium ucichła. Wszyscy myśleliśmy, że poszła w zapomnienie. Nardelli jednak wierzył uparcie i czekał cierpliwie.

— Wiesz, teraz już nie lękam się tamtej śmierci!... Bo wierzę, że wyjdę żywy do swojego dziecka.

Milczałem.

On zaś wydobył jej fotografię i znów jął mi o niej opowiadać. Teraz mi mówił o tym, jak podarła swoje buciki i jak go prosiła, by nie wyłaził na słupy telegraficzne i nie niszczył przewodów.

— A ja wyłaziłem. To było w nocy zawsze, na początku wojny. Chodziłem wzdłuż linii kolejowej, za dnia i wypatrywałem odpowiedni słup. Żeby nie było widać w nocy, żeby można było łatwo zwiać w razie czego... Potem szedłem i wyłaziłem do izolatorów. Przewody łączyłem cienkim drucikiem, lecz tak, żeby tego nikt nie zauważył, a sam drucik prowadziłem w pęknięciach słupa do ziemi. A o kilka kilometrów znowu to samo. A potem możesz sobie wyobrazić, co się działo. Przez kilka dni ruch telegraficzny i telefoniczny zepsuty, a całe bandy techników wędrowały od słupa do słupa, wyłazili na każdy i szukali drucików. A gdy w końcu znaleźli, nazajutrz znowu było to samo. Lecz w innym miejscu.

— Za to czekała kula w łeb! — zauważyłem.

— A wiem o tym!... Lecz swoje przecież musiałem zrobić. Tak mi bowiem polecili...

— Kto?

Nardelli spojrzał na mnie i machnął dłonią. Wiedziałem, że mi nie powie. I słusznie.

— Powiadasz, że Elzinka prosiła cię...

— Tak!... Zawsze płakała, gdy się wybierałem. Bała się o mnie. No i... I wpakowali mnie do obozu. Lecz niczego mi nie mogli udowodnić... O, moja droga Elzinka!... — szepnął znowu tkliwie, ucałował fotografię i schował za podszewkę.

Na początku grudnia Nardelli również już przestawał wierzyć w wyjazd do sanatorium.

— Cholery, nabrały nas! — zżymał się przede mną.

Lecz w miarę tracenia tamtej wiary nachodziły go znowu ponure myśli. Widziałem je w jego oczach. Oczy bowiem stawały się głębokie, złe, pełgające niepokojem. Przemieniał się w człowieka mrukliwego i niedostępnego. Chadzał w pojedynkę, unikał ludzi. Aż w końcu nie wytrzymał. Podszedł do mnie i znów poprowadził mnie za barak. Zasłaniał nas przed mroźną wichurą.

— Wiesz, przebacz... — zaczął niepewnie. — Czy, się tobie nie wydaje kiedy, że tu koło ciebie wszędzie jest pełno śmierci? Że ta śmierć jest tak blisko, że oto wyciągnij rękę, a wyczujesz ją pod palcami!... Czy tak ci się czasem nie wydaje? Powiedz!

— Tak! Słusznie zauważyłeś.

— A widzisz! — szepnął z ulgą.

Śmierć tę istotnie wyczuwałem koło siebie. Podobnie jak ją Nardelli wyczuwał. Jej istnienia czy obecności nie można było ująć w żadne słowa i w żadne zrozumienie. Wiedziało się tylko, że jest. I to wszędzie naokoło. Może to była jakaś stężała emanacja śmierci tych setek tysięcy ludzi, którzy tutaj konali i w agonii ostatek słów i westchnień naszeptali w przestrzeń.

Któż to może wiedzieć?

Żyliśmy tajemniczym kręgu zdarzeń, których początek nie był z tego świata.

Śmiercią było przesycone wszystko w obozie. Każda grudka ziemi, każdy najmizerniejszy ślad ludzki, każde źdźbło trawy, najdrobniejszy zakątek w baraku, w barłogach, w ustępie, nawet w tym ściegu podartego koca czy w tym rzędzie szumiących topoli wzdłuż głównej ulicy, a które nam przywodziły w wspomnieniu „Wyspę umarłych" Böcklina. Wszędzie wyczuwało się jej obecność.

Nie była to śmierć o wyraźnym obliczu, jako określone indywiduum, ni śmierć zbiorowa; to było tysiące a tysiące śmierci, które tłoczyły się w nieprzejrzanej ciżbie koło nas, które patrzyły nam bez ustanku w oczy, które docierały do uwiędłego serca ludzkiego, i którymi oddychało się, jak czymś realnym. Śmierć była koło nas w nieprzeliczonych zjawach, a my byliśmy w niej. Była jednak bez kształtu, jakby z mgły utkana, koloru ziemistego, przechodzącego w siny odcień, o specyficznym zapachu.

Najmniej uchwytnym był jej zapach.

Może to nie był jej zapach, może to było raczej złudzenie. I być może, że Nardelli miał słuszność, gdy twierdził, że to zapach nie śmierci, lecz konających ludzi.

Gdy z nim rozmawiałem o niej, słuchał skupiony. Widziałem, że jest po prostu zahipnotyzowany jej wizją. Podobnie jak ja byłem zahipnotyzowany jego wizją szkieletów, idących nieprzejrzanymi piątkami przez plac apelowy. Patrzył mi teraz w oczy, a jego spojrzenie stawało się podobne do stulonych koniuszków palcy u dłoni, które usiłują wydobyć z wąskiej głębi jakiś ogromnie mały przedmiot. Ziarnko czy coś podobnego.

— Przypominasz sobie kopalnię? — zapytał. — Wiesz, szyb Głęboki, pokład dziewiętnasty, za trzecią pochylnią...

— Tak, przypominam sobie wszystko. W pokładzie dziewiętnastym za trzecią pochylnią były ślady śmierci górników. Między nimi umierał mój ojciec. Tamtędy wiódł główny ganek z szybu Jana na szyb Głęboki. Górnicy uciekali przed pożarem. Nastąpił ponowny wybuch, który dopędził ich przed trzecią pochylnią. Legli wszyscy pokotem, czarni, na wpół spaleni. Minęło wiele lat, zwłoki ich dawno już spoczywały w wspólnej mogile na cmentarzu karwińskim, a ganek pozostał, w ganku zaś pozostały ściany zwęglone na żużel.

— Tu zginął twój ojciec — mawiali starzy górnicy i pokazywali mi ściany. — I zginęli jeszcze inni. I ten, i tamten, wielu ich było!...

Patrzyłem i przeżywałem ich trwogę. — Uciekałem razem z nimi przed śmiercią. Oto teraz siedzą wszyscy pod spaloną ścianą i patrzą na mnie czarnymi oczodołami. Tak mi się wtedy wydawało i już nigdy tamtędy nie przechodziłem. Nie chciałem, bo lękałem się, że ich śmierć znowu przeżyję i zobaczę.

— Czy przypominasz sobie pokład dziewiętnasty, trzecią pochylnię? — powtórzył Nardelli.

— Tak, przypominam sobie...

Nardelli szukał teraz nowych słów, lecz już ich nie znalazł. Wiedziałem, że chce mi powiedzieć, iż tamta śmierć z dziewiętnastego pokładu tak samo przemawiała do nas, jak dzisiaj przemawia do nas w obozie. Lecz nie umiał tego powiedzieć.

— To jest coś podobnego — rzekł jakoś niepewnie i znowu zamilkł.

I znowu minęło kilka dni.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika słowiańska

DRUGI NUMER „SLOVANSKEHO PRZEHLEDU"

„Slovansky Przehled", Praha XII, 1946, zeszyt 3—4 str. 129—256 z portretem.

Drugi z kolei podwójny numer „Slovanskeho Przehledu"*) zatoczył szerszy krąg, nad całą już Słowiańszczyzną, a zaczyna go portret i wiersz sędziwego Vlad. Nazora o Durmitorze, szczycie losu połudn. Słowian, po czym mamy sylwetkę tego „poety jutrzejszego" (pisał Jul. Dolansky na dzień 7-lecia urodzin) i bojownika socjalnej sprawiedliwości, co przez mroki współczesności widział słoneczne jutro i głosił jego nadejście w swych poetyckich legendach słowiańskich, balladach histor., lirycznych pieśniach i epopejach. Od „Słowiańskich legend" aż do ostatnich „Pieśni partyzanckich" (i wśród Titowych „leśnych chłopców" przebywał obecny prezes sejmu chorwackiego) uczy ten narodowy piewca miłości swego narodu i nakłania do serdecznego współżycia człowieka z człowiekiem. — B. V. Rożdestvenskij artykułem „Humanizm Maks. Gorkija" wykuwa nam jakoby rzeźbę (w 10-lecie śmierci) tego niestrudzonego a surowego bojownika rosyjskiego co w powieściach swych biblijnemu humanitaryzmowi daje należycie życiowy odcień, przeciwstawiając typowi kapitalisty człowieka ubogiego, wyzyskiwanego. Ten Żeromski Wschodu pod koniec swego życia rozpoczyna walkę z faszyzmem, przestrzegając lud swój przed zgubnym dla Słowiańszczyzny jego naporem. — Mamy dalej list M. Murki, b. prof słowiańskiej filologii w Pradze, do swych przyjaciół, którzy zgromadzili się nad Wełtawą celem uczczenia 85 rocznicy tego przyjaciela Słowian.

Następuje parę artykułów zapoznawczych z niedalekiej przeszłości i z problemami współczesnymi na terenie Słowiańszczyzny. St. Simov daje cenny przyczynek do dziejów wyzwolenia Bułgarii, opisując powstanie tego nieliczebnego narodu przeciwko Niemcom. Walka z faszyzmem zaczęła się już w r. 1923, lecz swego ukoronowania doczekała się w bitwach nad Drawą wiosną 1945 r., kiedy to zorganizowane ćwierćmilionowe oddziały bułgarskie rozbiły napór niemiecki i przyczyniły się w znacznym stopniu do oswobodzenia wielkiej części Jugosławii i Węgier, do wycofywania się wojsk niem. z Grecji i do połączenia się wojsk radziecko-amerykańskich w Austrii. Ponieśli Bułgarzy znaczne ofiary, ale mogą za to z dumą stanąć obok Polski, Jugosławii, Czechosłowacji za ten czyn powstańczy. — V. Burian omawia zawiązki przyjaźni włosko-jugosłowiańskiej w czasie zeszłorocznej wiosny ludów, w której ważną rolę odgrywał Polak Dębiński, jako współautor znanego manifestu słowiańskiego w Turynie (1849 r.) — Ch. Gandev (Sofia) daje przejrzysty obraz obecnego sporu grecko-bułgarskiego. Przeciwbułgarska kampania wysuwa 3 główne hasła: wysiedlenie Bułgarów z terenu Tracji i Macedonii, chęć zajęcia czysto bułgarskich ziem (rodopski masyw), żądanie odszkodowania za czas bułgarskiej okupacji od r. 1941—1944. Autor odpiera mądrze a spokojnie te greckie zakusy.

Dział przeglądów (str. 164—189) omawia sprawy Rosji Sowieckiej na terenie okupowanych Niemiec (w dziedzinie przemysłu, reformy rolnej, przebudowy gospodarczej, demokratyzacji stronnictw politycznych, szkolnictwa) oraz organizacji i pracy akademickiej w ZSSR. — A. Malek daje obszerniejszy i wszechstronnie opracowany referat o gospodarce współczesnej Polski (str. 173—186); podaje on na wstępie korzyści z przesunięcia granicy na zachód, po czym omawia poszczególne gałęzie przemysłu, podając ich dotychczasowy dorobek, nadto podaje plan zamierzanych osiągnięć w r. 1946. — St. W. Dobrowolski omawia historię, cele i obecną działalność TUR-u w Polsce.

Kronika jest znacznie rozszerzona (str 190—244). Najpierw sprawozdanie z działalności praskiego Instytutu Słowian (Slov. vybor), z którego dowiadujemy się o przygotowaniach na jubileuszowy zjazd słowiański w r. 1948, i o audiencji delegatów Slov. vyboru u prezydenta Benesza, który na temat Polski powiedział: „Mamy znacznie więcej wiadomości ze Związku Radzieckiego i o nim, niż z Polski i o Polsce. Stosunkowo dobrze poinformowani jesteśmy o sprawach jugosłowiańskich, ale z Polski mamy mało wieści... A druga sprawa, o której już Masaryk wspomniał: „Nie śmiemy ujmować rzeczy słowiańskich tak, aby stale patrzeć drugim okiem na Niemcy, sąsiada naszego i prawie wszystkich państw słowiańskich. Dzisiaj jest sytuacja inna, ale za 5 czy 10 lat problem niemiecki będzie znowu problemem naszym, polskim i jugosłowiańskim. A więc: nie spuszczać oka z Niemiec!" W końcowych słowach zachęcał do studiowania historii ruchów panslawistycznych. — Mamy dalej wzmiankę o A. Czernym, założycielu „Slov. Przehledu" (przełożył „Króla Ducha" na język czeski), który mianowany został honorowym doktorem filozofii w Pradze. — Z kroniki politycznej jest opis pobytu marsz. Tito w Czechosłowacji i w Polsce oraz pełny tekst umów przyjacielskich; jest sprawozdanie z działalności towarzystw czesko-jugosłowiańskich, polsko-radzieckich, polsko-czeskich (jest i pełny tekst umowy kulturalnej polsko-czeskiej', polsko-łużyckich. — Są krótsze sprawozdania z poszczególnych szkół wyższych w ZSRR. i w Polsce; są wiadomości o działalności związków czeskich poza granicami kraju; jest sprawozdanie z II Zjazdu Związku Samopomocy Chłopskiej, z Kongresu słowiańskiego w Ameryce i artykuł o stratach w życiu kulturalnym Łużyc.

W dziale recenzyj omówione jest encyklopedyczne dzieło jugosłowiańskie. „Oko Trsta", z książki histor. bułgarskie i monograficzne studium S. Kota o Estreicherze.

W bibliografii mamy książki, tyczące spraw czesko-rosyjskich (głównie słowniki) oraz parę o Łużycach, dalej książki rosyjskie, dalszy ciąg książek i czasopism polskich oraz książki o Słowiańszczyźnie w obcych językach (angielskim, francuskim, niemieckim).

J. Broda

*) Rec. zesz. 1—2 por. „Odra" nr. 11 (22) z dnia 28. 4. 1946, str. 6.

Listy z Polskiego Zachodu

Obrona słabych

Gliwice, w czerwcu

Wiele się słyszy wzniosłych i pięknych słów o ludności polskiej z za granic północnych i zachodnich Polski 1939 roku. Deklamuje się utartymi frazesami o uczuciu, z jakim tę ludność polską Mazurów czy Opolan witamy w ramach własnego państwa, o podziwie dla ich nieugiętej postawy, o wartościach duchowych, jakie w charakter nasz narodowy wnoszą. To wszystko bezwzględna prawda. Ale prawda ta nuży, przeraża i drażni, gdy się ją skonfrontuje z rzeczywistością. Nie z rzeczywistością wartości, jakie przedstawiają sobie nasi autochtoni, ale z rzeczywistością stosunku, z jakim się do nich odnosi. W rzeczywistości tej niema nic z owych deklamacji.

Mając możność stałego kontaktu z terenem, obcowania z ludnością autochtoniczną wsi i miast, nie dostrzega się bezmała żadnej dziedziny życia, gdzie by ludności tej szło się na spotkanie, gdzie by nie spotykały ją jaskrawe niesprawiedliwości.

Cechą znamienną jest, zarówno po wsiach jak i miastach, kompletny prawie brak mężczyzn roczników 1895—1929, pochodzenia miejscowego. Ci, którzy z tych czy innych powodów, jak specjalnie ważne prace czy nieudolność fizyczna, nie znaleźli się w szeregach armii niemieckiej, względnie wcześnie stamtąd wrócili, zostali w 1945 r. przy przesuwaniu frontu, zmobilizowani przez władze sowieckie do pracy na potrzebującym rąk roboczych zapleczu. Tym bardziej, że wojska sowieckie, nie orientując się zbyt dobrze w stosunkach narodowościowych, traktowały wszystkich jako Niemców. Uchowali się tylko nieliczni, którym w ten czy inny sposób udało się pozostać w domu.

Na wsi po gospodarstwach, w miastach w domostwach pozostały samotne kobiety z małymi dziećmi. Na wsi zagadnienie upraszcza się o tyle, że przy pewnej pomocy w obróbce roli itp., rodzina opolska może zapewnić sobie niezbędne minimum utrzymania. Gorsza o wiele sytuacja jest w mieście. Mam przed sobą charakterystyczne dane. W czasie przeprowadzonej niedawno przez PZZ rejet stracji Opolan, wywiezionych jako Niemców do Rosji, wpośród rubryk, które wypełniać musiały rodziny nieobecnych żywicieli jedna żądała podania środków, z jakich utrzymuje się rodzina. I tak n. p. w Gliwicach na około 2,5 tysięcy złożonych podań, ponad 85 procent we wspomnianej rubryce stanowiły adnotacje: — „bez pracy", albo — „ze sprzedaży rzeczy". I tu zawsze prawie dochodziło objaśnienie ustne: „już nie mam co sprzedawać, i nie wiem, co mam dalej robić". Czyli 85 procent rodzin, pozostałych bez opiekunów, pozostaje bez pracy, bez środków do życia. Bo pracować chcą te kobiety prawie wszystkie. Tylko, że pracy tej niema. Są za to dzieci, które trzeba nakarmić, ubrać, trzeba posyłać do szkoły.

Pozostaje jeszcze Opieka Społeczna. Ale tam trzeba wystawać dniami, jeżeli już nie tygodniami, w ogonkach i czasem, czasem uda się uzyskać 100 zł raz na kilka miesięcy, czy jakieś ubranko z darów UNRRA dla dziecka. To nie rozwiązuje sytuacji. Kartki żywnościowe posiadają III kat. O tym, jak mało się na nie dostaje, wiedzą wszyscy.

Mało lepiej, zresztą przedstawia się sytuacja tych rodzin. gdzie ich męscy żywiciele pozostali w domu. Inteligencji i półinteligencji, a nawet specjalistów — fachowców, na skutek taktyki, stosowanej przez Niemców w stosunku do ludności polskiej — jest bardzo niewiele. Przeważają robotnicy i to niewykwalifikowani. Z uzyskaniem pracy jest im bardzo trudno. Stale zetknąć się można z poszukującymi tej pracy — choćby dawała ona dosłownie tylko grosze.

Ludność autochtoniczna znajduje się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji materialnej. Nie może, jak się to mówi, związać końca z końcem. Mimowoli wraca ona pamięcią do czasów niemieckich, kiedy jednak każdy miał pracę, mógł zarobić na utrzymanie. Czy to nie wpływa dodatnio na ułatwienie propagandy niemieckiej, czy to nie wyrabia sceptycznego stosunku do Polski? Trzeba przecie pamiętać, że ludność ta nie zdaje sobie w pełni sprawy z trudności warunków powojennych. Winę przypisuje państwu.

Tworzą się specjalne fundusze dla Ziem Odzyskanych. Czy nie warto byłoby pomyśleć o tym, żeby zabezpieczyć jakoś pogrążoną w nędzy ludność autochtoniczną? Żeby zapewnić jej pracę. I tym żywicielom rodzin, którzy, jest nadzieja, powrócą może już prędko. Bo musi się mieć na uwadze, że trudno jest repolonizować tam, gdzie był dobrobyt a jest nędza...

Nie mniej ważną kwestią jest sprawa pozycji społecznej autochtonów. Daje się tu zaobserwować ujemne zjawisko poczucia odrębności i jakby niższości. Postawa taka prowadzi w konsekwencjach do zamykania się w ramach własnego regionu, tworzenie ekskluzywnej grupy dzielnicowej, mało podatnej na wpływy zewnętrzne.

Tym bardziej, że ten kontakt z zewnątrz jest zazwyczaj przykry i krzywdzący.

Pisał kiedyś Eryk Skowron w „Odrze" na temat — „Nie chcemy być Ślązakami". Tymczasem Polaków miejscowych nie określa się prawie nigdy mianem innym jak „Ślązak". Dobrze, jeżeli już nie „Niemiec". Śląskość tutaj podkreśla się nie w sensie regionalnym, ale w sensie pewnej odrębności już narodowej. Ślązak w ustach repatrianta czy osiedleńca z centralnej Polski, to już nie Polak, to w najlepszym razie coś pośredniego między Polakiem a Niemcem.

Rozumowanie takie wypływa z tego, że gdzieś tam, w czasie okupacji, ten i ów zetknął się ze strażnikiem obozu koncentracyjnego, Ślązakiem, że ten i ów żołnierz niemiecki, szczególnie gorliwy, też był Ślązakiem. I to pochodzenia polskiego. Ale renegaci byli wszędzie. A szczególnie tu, gdzie wpływy niemczyzny przez wieki były tak silne, iż psychika polska, jak to podkreśla W. Szewczyk w przedmowie do „Posągów", szybowała między dwoma skrajnościami: najpełniejszym renegactwem, a bohaterstwem narodowym. Byli Ślązacy strażnikami w obozach i więzieniach, byli sługusami hitleryzmu, ale byli też, i to liczniejsi, powstańcy śląscy, byli bohaterzy nieustannej walki w Związku Polaków w Niemczech. I ma rację E. Skowron, że jeżeli termin Ślązak nasiąknął tą ujemną opinią, lepiej go się wyprzeć i nie używać wcale. Nazywajmy autochtona Polakiem po prostu, a jeżeli chcemy jakoś wyodrębnić, dodajmy choćby — miejscowym.

Jeszcze jedno ważne spostrzeżenie. Sprawa czystości języka. Wieleż razy się widzi, jak urzędnik zniecierpliwiony, odprawia gburowato petenta spośród miejscowej ludności, bo nie chce mu się trochę więcej poświęcić uwagi, by wypaczony nieraz mocno niemczyzną język zrozumieć. Jak często wyzywa się kogoś od Niemców, bo użyje tam raz czy drugi słowa niemieckiego.

Tak samo więcej trzeba mieć serca i sumienia, by w sporach o mieszkanie, ogród czy działkę, świadomie fałszywie nie pomawiać kogoś o niemieckość, składać tendencyjne doniesienia itp. Tak się Polski na Ziemiach Odzyskanych nie zbuduje.

Dlaczego też Polacy napływowi stosują w stosunku do nieśmiałych autochtonów system zahukiwania, zastraszania. Czy nie można tu użyć perswazji, tłumaczenia. Jedna serdeczna rozmowa napewno więcej nieraz uczyni, niż dziesiątki rygorystycznych zakazów, rozporządzeń itp.

Motywem postępowania w stosunku do ludności miejscowej musi być zawsze świadomość, że my nie polonizujemy, **ale repolonizujemy.** Przywracamy Polaka do zapomnianej, nierozumianej czy zagasłej świadomości narodowej, a nie tworzymy nowych Polaków spośród członków jakiejś obcej grupy etnicznej.

Brak jest troski odpowiedniej o autochtonów także i w dziedzinie najnieodzowniejszych potrzeb kulturalnych.

Szkolnictwo nie jest jeszcze należycie postawione. Nie wszystkie dzieci objęte są nauczaniem. Nauczyciele nie zawsze mają właściwy sposób podejścia do dzieci ludności miejscowej. Nie ich to zresztą i wina. To czynniki nauczycielskie nadrzędne powinny wydawać specjalne instrukcje, prowadzić specjalne przeszkolenia, kursy orientacyjne. Za mało tu wkładu pracy inspektoratów i kuratoriów.

Wiele błędów kryje się w systemie kursów dokształcających języka polskiego dla dorosłych. Częstokroć stosuje się tu metody takie, jak przy nauczaniu obcego języka, gdy chodzi tylko przecież o poprawienie języka rodzimego.

Minimalna jest opieka nad dziatwą szkolną miejscowego pochodzenia. Zbyt nikłe zainteresowanie warunkami domowymi ucznia. Za wielkie niejednokrotnie wymagania. Nie można tu stosować, szczególnie w klasach najniższych, tej samej oceny, co do dzieci rekrutujących się z elementu napływowego.

Z kolei zagadnienie tak istotne, a beznadziejnie wypaczone z niewiadomo jakiej racji i poco podjętych jałowych dysputach — zagadnienie prasy dla autochtonów.

Miała przed wojną w Niemczech ludność Opolszczyzny swoją prasę. Nie były to pisma gwarowe, jak chcą twierdzić niektórzy, ale jędrna, zdrowa polszczyzna, jakiej by się nie powstydziło żadne pismo i dzisiaj.

Jeżeli dąży się do tego, by pisma te reaktywować, to nie ma się tu bynajmniej na celu, jak chciał to mnie imputować w odpowiedzi na mój apel o prasę dla autochtonów red. Sabatowicz, szerzenia jakichś separatyzmów regionalnych. Ale właśnie naodwrót, przez stworzenie prasy, dostosowanej poziomem i podejściem do psychiki ludności miejscowej, uzyska się przyśpieszenie procesu zespolenia z resztą ludności, zatarcie różnic dzielących, a stworzenie podwalin pod jednolity typ społeczny obywatela na Ziemiach Odzyskanych.

A jeżeli dalej akcentuje się konieczność apartyjnego nastawienia pisma, to znów nie po to, by występować przeciw partiom i ich programom ale, **żeby do czasu, gdy autochton pojmie różnicę często dlań dzisiaj nieuchwytną** — partyjnictwa a polskości, — **postawić go poza obrębem walk partyjnych, a budzić i potęgować polskość istotną, rzeczywistą.** I właśnie partie powinny dążeniom tym dopomóc i usilnie je poprzeć.

To mają na myśli ci, co czynią starania o prasę dla ludności miejscowej, prasę nawiązującą tytułem, układem treści i t. d. do ukochanej przez tę ludność prasy dawnej, do której była przyzwyczajona, a której jej dzisiaj brakuje.

Wiele innych jest jeszcze zjawisk ujemnych, dotkliwie w ludność autochtoniczną godzących. Nie sposób tu wszystkich wymieniać. Faktem jest jednym, oskarżeniem ogromnym, że wciąż jeszcze krzywda dzieje się Polakom z Opolszczyzny. Krzywda to nie tylko dla ludności miejscowej, ale i krzywda dla Polski jako Narodu i Państwa. Czy trzeba wspominać o budzących się tu i ówdzie wśród autochtonów negatywnych do Polski nastrojach? I to czasem wśród tych nawet, co dla tej Polski i o nią najwięcej walczyli, najwięcej ofiar ponieśli. Póki czas, trzeba tę krzywdę naprawiać. Póki rozgoryczenie i niechęć nie są ogólne, nie są ugruntowane mocniej, póki ich nie zdążyła jeszcze w pełni rozeznać i podsycić umiejętnie podziemna propaganda niemiecka. Bo potem może być za późno, a skutki mogą być nadspodziewanie przykre, zgoła nawet tragiczne.

Eugeniusz Paukszta

Książka Ziem Odzyskanych

Biuro Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych. II Sesja Rady Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych. Zeszyt 1. Warszawa 1946.

Dotychczasowe pozycje wydawnicze Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych przy Biurze Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych w Krakowie, będące wynikiem gruntownych i sumiennych prac naukowo-badawczych dostatecznie kwalifikują rolę i znaczenie tej instytucji przy organizowaniu nowego życia na ziemiach odzyskanych i zagospodarowywaniu tych ziem. Niektóre zwłaszcza z tych publikacji mają dla naszej opinii **znaczenie rewelacyjne.** Niedostateczna bowiem wiedza, a często wręcz kompletna niewiedza, gdy idzie o zagadnienia tyczące się ziem nowych, była u nas zjawiskiem powszechnym i to nawet w t. zw. zaawansowanej opinii. Znaczenie jednak prac i dotychczasowych osiągnięć naukowo-badawczych Biura Studiów i Rady Naukowej wykracza daleko poza sferę naukową. Niektóre zwłaszcza z nich mają również wybitne aspekty polityczno-propagandowe, wreszcie większość znaczenie praktyczne w tym sensie, że może stanowić nieoceniony materiał i wskazania przy ustalaniu wytycznych i zasad naszej polityki na ziemiach odzyskanych, co tak wydatnie zwiększa ich wagę. Najlepszym tego dowodem jest wydany ostatnio pierwszy zeszyt, zawierający część prac i referatów II sesji Rady Naukowej (odbytej w dniach od 16 — 18. 12. 1945 r.), który tu pragniemy po krótce omówić. Zeszyt ten pt. „Problemy ogólne akcji osadniczo-przesiedleńczej" zawiera 6 referatów, a to:

1) **Henryka Kopcia** — Zjawiska demograficzne, towarzyszące zmianom granic Polski, 2) **Zbigniewa Miłobędzkiego** — Zagadnienie osadnictwa a odszkodowania wojenne, 3) **Józefa Zajdy** — Finansowanie osadnictwa na ziemiach odzyskanych, 4) **Józefa Szaflarskiego** — Zagadnienie odpływu ludności w ciągu ostatniego wieku z ziem odzyskanych a nasza akcja osadnicza na tym terenie, 5) **Bolesława Olszewicza** — Sprawa reemigracji ludności polskiej, 6) **Rajmunda Buławskiego** — Pojemność ludnościowa rolnictwa niemieckiego po odłączeniu terytoriów wschodnich. Zamyka publikację komunikat Zygmunta Zaręby — Organizacja służby statystycznej na ziemiach odzyskanych.

W omawianej tu publikacji dwie w szczególności prace wykraczają daleko poza ich naukowe znaczenie, a to praca dyr. Zajdy i docenta Buławskiego. W pierwszej z nich (Finansowanie osadnictwa na ziemiach odzyskanych) rozpatrzono wszechstronnie i wyczerpująco dwa kapitalne problemy: a) jak sfinansować zagospodarowanie ziem odzyskanych, b) jak sfinansować przekazanie osadnikom tytułu własności. Są to zagadnienia trudne a podstawowe, gdy idzie o naszą gospodarkę na ziemiach nowych. Pracę zamyka autor konkretnym projektem utworzenia Banku Odbudowy Odszkodowań i Osadnictwa, który koncentrował by całokształt spraw, związanych z finansowaniem zagospodarowania tych ziem. Wielką zaletą pracy jest właśnie jej znaczenie praktyczne. Może ona służyć jako prawdziwie cenny materiał przy rozwiązywaniu tych zagadnień przez czynniki rządowe. Jasność zaś wykładu czyni ją zrozumiałą nawet dla niefachowców.

Praca doc. Buławskiego (Pojemność ludnościowa rolnictwa niemieckiego po odłączeniu terytoriów wschodnich), najwybitniejszego dziś polskiego statystyka, dyr. Biura Studiów oraz organizatora całości prac tego Biura i Rady Naukowej, obok prawdziwych walorów naukowych, które posiada, może mieć przy należytym wyzyskaniu doniosłe znaczenie polityczno-propagandowe. Pod tym bowiem względem stanowi prawdziwą rewelację. Dotychczas bowiem panowało nie tylko u nas dość powszechne przekonanie o przeludnieniu Niemiec. Przekonanie to ustaliło się nie bez wpływu propagandy niemieckiej. Wiedziało się wprawdzie coś nie coś o wyludnianiu się wschodnich terytoriów Rzeszy, o stałej emigracji ludności ze wschodu na bardziej atrakcyjny zachód niemiecki, a więc o zjawisku, z którym nie mógł się uporać nawet narodowy socjalizm. Tym bardziej przeto ustaliło się przekonanie o przeludnieniu środkowych i zachodnich Niemiec. Sprawa ta odgrywała nawet dość znaczną rolę u naszych pesymistów i minimalistów granicznych. Podnosili oni, że idea granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jest ogromnie sympatyczna, ale przecież nie można do tego stopnia ładować dynamiki ludnościowej Niemiec, co musi nastąpić po wysiedleniu Niemców z terytoriów na wschód od Odry.

Doc. Buławski na podstawie szczegółowych obliczeń i danych statystycznych poprzedzonych — jak można się domyśleć — wieloletnimi badaniami, ustala, że rolnictwo niemieckie, nawet po odłączeniu terytoriów wschodnich, może wchłonąć około 3 mil. ludności przy przeprowadzeniu parcelacji wielkich majątków i przyjęciu jako normy odnośnie gęstości zaludnienia rolniczego cyfry 42 (na 100 ha użytków rolnych). 3 mil. to cyfra, która przekracza liczbę niemieckiej ludności rolniczej na ziemiach odzyskanych. Ale doc. Buławski wykazuje jeszcze, że obok wspomnianych 3 mil. Niemcy obecne mogą wchłonąć bez żadnych szczególnych komplikacji 2—3 mil. ludności nierolniczej, związanej z rolnictwem. Te osiągnięcia badawcze doc. Buławskiego, poparte do tego badaniami i wnioskami autorów niemieckich odnośnie niedoludnienia rolniczego Niemiec, mogą stanowić pierwszorzędny materiał dla naszych czynników rządowych na konferencję pokojową. Słusznie też powiada prof. Styś w dyskusji: „Gdyby Rada Naukowa dla zagadnień Ziem Odzyskanych nie opracowała do tego czasu nic innego, jak tylko ten jeden referat, to uczyniła by już wiele. Podzielam zdanie, że referat dr. Buławskiego należało by opublikować w języku obcym i udostępnić go tym, którzy mają wątpliwości w sprawie wysiedlania Niemców za Odrę i Nysę".

Inne prace tej książki omówimy kiedy indziej.

Alojzy Targ.

Kazimierz Popiołek: Trzecie Śląskie Powstanie. Katowice 1946. Instytut Śląski. Stron 215, 2 mapki.

Ukazała się nowa książka Kazimierza Popiołka pt. „Trzecie Śląskie Powstanie", jako wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Cechą znamienną jej jest:

1) że obejmuje całość tego wydarzenia dziejowego, podczas gdy dotychczasowi autorzy polscy podawali raczej tylko urywki dotyczące III powstania;

2) że autor oparł się na źródłach historycznych i literaturze tak polskiej jak i niemieckiej, jaka dotąd się ukazała a nie na wspomnieniach, gdyż sam udziału w powstaniu nie brał: dotychczasowi autorzy, niemal wyłącznie uczestnicy lub obserwatorzy III powstania, opisywali głównie to, czego sami dokonali lub czego byli naocznymi świadkami:

3) że w przeciwieństwie do większości przedwojennych autorów, którzy zaliczali się albo do zwolenników politycznych Korfantego, albo do jego przeciwników i przez to często nie mogli zdobyć się na bezstronność,, to autor niniejszej książki, niezwiązany widać z żadnym z tych obozów, stara się przedstawić bieg wydarzeń obiektywnie i bezstronnie.

Ocena roli, jaką odegrał w III powstaniu Szef Naczelnej Władzy na Górnym Śląsku, Wojciech Korfanty, którego dr. Grażyński, jego prasa i jego zwolennicy tak zaciekle zwalczali przed wojną, wydaje się być trafna i sprawiedliwa. Natomiast mniej szczęśliwa jest ocena wydarzeń wojskowych. Autor w ogóle nie przedstawia wyczerpująco w swojej książce olbrzymich braków w dziedzinie wojskowej, w szczególności niewykorzystania przez dowództwo niezmiernie korzystnej sytuacji, jaka zaistniała dla powstańców na terenie plebiscytowym bezpośrednio po wy-

(Ciąg dalszy na str. 8.)

Glossy i notatki

O SPORCIE

Jeden z czerwcowych numerów wychodzącego w Katowicach tygodnika „Sport" przynosi nieprawdopodobną wiadomość. Oto mecz piłkarski między AKS Chorzów a „Wisłą" krakowską, odbyty w Krakowie, przyniósł Ślązakom aż siedmiu graczy przeważnie ciężko kontuzjowanych. Zaś kierownictwo „Wisły" na interwencję rozmaitych czynników w sprawie brutalnej gry graczy tego klubu uważało jedynie za stosowne odpowiadać:

— Nie żałujcie ich, przecież to Niemcy!

Tyle „Sport". I znowu problem, należący do kategorii tych, o których wspomniał wicepremier Gomółka w wywiadzie, skomentowanym w „Perspektywie Odry" bieżącego numeru. Problem owej „lepszej" polskości, zarozumiałości narodowej, a w gruncie rzeczy źródło renegactwa i nieufności. Tak, powtarzamy to raz jeszcze: renegata tworzą nie tylko Niemcy, ale i stosunek Polaków do niego. Zwłaszcza renegata śląskiego. Renegat to człowiek zły, ale o ileż gorszy jest Polak, który go na tę ścieżkę popycha.

„Nie żałujcie ich, przecież to Niemcy" — ci ludzie, ugodzeni w samo serce, bijące tak samo po polsku, nie podadzą wam już ręki, nie spojrzą na was. A z kompleksu tego powstaje kryzys uczuciowy, cierpi na tym wciąż jeszcze potrzebujące oparcia i serdeczności poczucie narodowe, wynika odszczepieństwo. Bądźcie pewni, czcigodni Krakowiacy spod znaku „Wisły", którzy wypowiedzieliście te słynne słowa, że po tamtej stronie przyjmą ich, choć by byli nawet Polakami, bez wypominania im polskości — jako Niemców. Bo wy tego chcecie. Pomyłkę swoją zrozumielibyście dopiero wtedy, gdyby się o was upomniały kopalnie do pracy przy kolebach.

Jakież to wszystko brzydkie i podłe. **(wisz)**

O POMNIKACH

17 numer „Odnowy" przynosi artykuł p. Anny Dębek pod tytułem „Dlaczego w Olsztynie?" Mowa jest o postawionym tam co dopiero pomniku Jaracza. Dlaczego właśnie w Olsztynie — pisze p. Anna Dębek — jakież są zasługi Jaracza dla ziemi warmińsko-mazurskiej? Gdzież pomniki miejscowych działaczy, którzy życie swe poświęcili utrzymaniu polskości na tych ziemiach? Autorka ma rację. Przypomina ściętego przez Niemców Seweryna Pieniężnego, dzielnego redaktora „Gazety Olsztyńskiej", przypomina Mrongowiusza, Kętrzyńskiego, Michała Kajkę, ludowego poetę.

Problem jest istotnie ważny. Za mało robi się dla uczczenia pamięci miejscowych polskich działaczy, którzy przecież — wziąwszy pod uwagę obiektywne warunki, w jakich działali — bardziej pracowity mieli żywot dla polskości i utrzymania jego kultury niż setki Jaraczów, działających w niepodległych warunkach. Kto na Śląsku np. z przybyłych tu Polaków wie coś o starcu, bojowniku i męczenniku Franciszku Myśliwcu? Poszczególne oddziały Informacji i Propagandy oraz Kultury i Sztuki, które mają przecież propagować tu polskość, powinny sobie wziąć za cel ukazywanie owych wielkich polskich postaci z terenów przyłączonych — całej Polsce. Więcej bowiem te postacie świadczą o żywotności polskiej kultury niż teatralny czyn Jaracza, któremu zresztą nie chcemy tym samym odbierać ani zasług ani sławy.

Problem jednak pozostaje. Ukazać Polsce ludzi, którzy tu o niej myśleli i dla niej umierali. Zupełnie jak w piosence lub wierszu. Na Ziemiach Odzyskanych niepotrzebne są warszawskie proporcje kulturalne, ziemie te mają swoje własne proporcje, tworzone od wieków pomimo ucisku i zagłady i te proporcje musimy uznać nie tylko jako dokument. I dlatego potrzebne są inne pomniki. **(wisz)**

CZYTAMY PRASĘ

Obfita ilość gazet i czasopism powoduje wrażenie, że wchodzimy w okres inflacji... papierowej — przy notorycznym braku papieru. Przy tym czasopism stale przybywa. Nie chcemy opiniować, które są potrzebne, a które winny ulec likwidacji; może trzeba by urządzić jakieś referendum, głosowanie ludowe, w którym by społeczeństwo ustaliło, jakich pism pragnie. Dziwne jest wszakże to, że pisma, które się świeżo rodzą, są właśnie wynikiem istotnych często potrzeb, gdy wiele z tych, które urodziły się w pierwszych miesiącach naszej wolności należało by już dawno skasować. Niektóre pisma, jak wiadomo, stoją tylko subwencjami a nie czytelnikami. Czy subwencji nie przeznaczyć na szkoły?

Nowy miesięcznik **„Ziemia"**, jaki ukazał się niedawno w kioskach, należy niewątpliwie do typu czasopism, których żywot jest uzasadniony. Ściśle biorąc nie jest to miesięcznik „nowy", bowiem ten zasłużony organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego liczy sobie już 30 roczników; zatem obecnie w z n a w i a się go jedynie po przerwie okupacyjnej. A trzeba przyznać, że wznowiona „Ziemia" ma zadań dziś o wiele więcej niż posiadała ich kiedykolwiek. Toć olbrzymie połacie nowej Polski są Narodowi nieznane, jednostki tylko wiedzą i znają, co zyskaliśmy nad Odrą, Nysą, Pasłęką i Bałtykiem w wartościach krajobrazowych, gospodarczych, etnograficznych. **„Ziemia"** zdaje się wiedzieć o tych nowych zadaniach, skoro mówi o nich nie tylko w słowie wstępnym redakcji, ale także zamieszcza syntetyczną pracę Mieczysława Orłowicza (autora m. in. „Przewodnika po Mazurach Pruskich i Warmii, wydanego w r. 1923) o tym, co zobaczymy na Ziemiach Odzyskanych w ogólności; daje także opis geograficzny Sudetów, podnosząc ich piękno i bogactwo walorów turystycznych. Charakter bibliografii rozumowanej posiada dłuższy arykuł (szkoda, że niekompletny) o „Powojennym piśmiennictwie krajoznawczym", uwzględniający poważne publikacje, tyczące się nowych obszarów Polski. Adres **„Ziemi"** brzmi: Warszawa, ul. Wilcza 22, m. 8.

Żywą troską napawało nas od dawna zagadnienie pism młodzieżowych w Polsce. Różne „Światy przygód" lub zamazane farbą drukarską i bezideowością pisma w rodzaju katowickiego „Jutra" urodzonego z kłótliwego „Czynu Młodych") nie mogły, rzecz jasna, spełniać tych doniosłych funkcji, jakie stoją przed, poważnie pojmującą swoje zadania, prasą młodzieżową. To też z radością witamy ukazanie się **„Młodej Rzeczypospolitej"** — tygodnika młodzieżowego jaki ujrzał światło dzienne w Krakowie. Redakcja, spoczywająca w rękach St. Balickiego, St. Ziemby i M. Eilego założyła sobie, jak to widzimy z dwu pierwszych numerów, stworzenie jak najwszechstronniejszego pisma dla młodzieży starszej, pisma, w którym by pisali i młodzi i starzy, znajdując tu otwarte łamy dla spraw oświaty, kultury geografii, sportu, polityki, Ziem Odzyskanych, reform społeczno-gospodarczych itp. Bogate ilustracje, ciekawe konkursy, działy powieściowe, przydziały humoru i rozrywki mają przywiązać młodych czytelników do pisma i ułatwić przyjęcie strawy poważniejszej. Ogólnie **„Młodą Rzeczpospolitą"** oceniamy bezwzględnie pozytywnie i polecamy żywo rzeszom młodzieży szkolnej i pozaszkolnej. Mamy wszelako pod adresem redakcji następujące postulaty: niechże te artykuły ogromnie poważne i pisane z dużą rutyną dziennikarską i dziennikarską frazeologią (np. artykuł pt. „O równowagę społeczną" z nr. 1) nie podpisują gimnazjaści i licealiści, gdyż to wygląda dziwnie i... trochę śmiesznie. Wiele jest takich rad i pouczeń w rodzaju: „najbardziej palącą kwestią Zachodu jest szkolnictwo. Więcej szkół i wyższego poziomu! Oto żądania wobec Ministra Oświaty. Przed szkołą zachodnią stanęło podwójne zadanie: wpajać nie tylko wiedzę, ale i polskość... Musimy pchnąć na Ziemie Odzyskane najlepszy nasz element nauczycielski..." Domaga się tego („wyższego poziomu szkół" i „aby **pchnąć** element nauczycielski") uczeń licealny z Krakowa! A uczennica IV gimnazjalnej powiada w artykule zatyt. „Rozumnie gospodarować": „Mamy dać Ziemiom Odzyskanym kulturę polską... Starajmy się podnieść ją pod względem materialnym i duchowym. Należy zwiększyć produkcję przez podniesienie kultury rolnej, przez kształcenie inżynierów i fachowców, przez umiejętną hodowlę i podniesienie rasy bydła..." Aha, a panience było by bardziej do twarzy, gdyby np. wymieniła na pamięć wszystkie prawobrzeżne dopływy Odry. Inna dzieweczka pisze w sążnistym artykule (pięć łamów, strony wielkości „Odry") o ludzie „śląsko-pomorskim, który jest zimny i nieufny. Musimy rozgrzać te dusze..." Jest entuzjastką, ale niestety pisze głupstwa, **których redakcja nie powinna drukować.** Bo wzywa, abyśmy we wschodniej Polsce gromadzili „cały nasz dorobek polski, aby w razie ...nowej agresji niemieckiej ...nie pozbawił nas wróg możności obrony..." itd. Oj, dziewczęta oj, redaktorzy.

Zwracamy uwagę pracownikom kultury i oświatowcom na najświeższy numer czasopisma **„Bibliotekarz"** (adres: Warszawa, ul. Koszykowa 26), w którym znajdujemy m. in. wyczerpujące omówienie wysokiego stanu organizacyjnego bibliotekarstwa na terenie Czechosłowacji, oraz ciekawe, ilustrowane cyframi szczegółowe prace o sytuacji bibliotekarstwa na Śląsku. Sytuacja na Śląsku nie jest pomyślna ani w dziedzinie bibliotek powszechnych, zwłaszcza na Opolszczyźnie (jak o tym informuje Czesław Kozioł), ani w dziedzinie bibliotek naukowych, z których największa, tj. Śl. Biblioteka Publiczna nie ma do tej pory uregulowanego swego stanu prawnego; prócz tego znajdujemy tu noty sprawozdawcze o bibliotece w Gliwicach, o bibliotece Politechniki Śląskiej, o archiwum miejskim w Gliwicach, o bibliotekach cieszyńskich (L. Brożek), o T. C. L. na Śląsku, o akcji zabezpieczenia i rewindykacji księgozbiorów (Fr. Szymiczek).

Na terenach dawniejszej Rzeszy Niemieckiej istniała zawsze żywa Polska, którą najsilniej reprezentował przed wrześniem 1939 roku Związek Polaków w Niemczech. Działalność tego związku winna znaleźć już niebawem swego historyka, zwłaszcza, że żyją ludzie, którzy mogą dostarczyć jeszcze materiałów. Nie wolno nam utopić w niepamięci największych wysiłków tych, którzy budowali, stale rozrywane przez wroga, umocnienia polskości nad Odrą, kiedy ta jeszcze płynęła w niewoli, pełna tęsknot za swą słowiańską Ojczyzną. Przypomina się owa sprawa, kiedy czytamy syntetyczny szkic mgr. Pawła Kapuścika w tygodniowym dodatku **„Pioniera"** (z dn. 23 czerwca br.), zatytułowany „Działalność Związku Polaków w Niemczech". Działalność ta była wszechstronna, ale najsilniejszy nacisk kładło się wówczas na stronę oświatową i narodową. „Dla zwalczania niemieckiej propagandy i uświadamiania rodaków, Związek Polaków w Niemczech wydaje kilka pism. Poza wspomnianą „Obroną kultury" wychodzi miesięcznik organizacyjny pt. „Polak w Niemczech", „Młody Polak w Niemczech" — miesięcznik dla młodzieży polskiej oraz „Mały Polak w Niemczech", miesięcznik dla dziatwy polskiej.

Redakcja wyżej wymienionych pism mieściła się w Berlinie, zaś administracja — we Wrocławiu.

Z prasy codziennej polskiej w Niemczech należy wymienić następujące dzienniki: Na Śląsku: „Nowiny Codzienne" „Dziennik Raciborski", „Nowiny" i „Katolik"; w Niemczech Środkowych: „Dziennik Berliński"; w Westfalii i Nadrenii. „Naród"; w Prusach Wschodnich: „Gazeta Olsztyńska" i „Mazur", drukowany gotykiem; dla Kaszubów, Krainy i Pogranicza: „Głos Pogranicza i Kaszub". Prasa ta była potężną dźwignią uświadomienia narodowego Polaków w Niemczech: jej należy zawdzięczać, że wielu Polaków zachowało swą mowę ojczystą i poczucie narodowe".

Na poczuciu narodowym tych, którzy się do dziś tam ostali, możemy śmiało budować nasz nadodrzański dom.

Zby.

Co robią Niemcy

JAK AMERYKANIE PATRZĄ NA NIEMCÓW?

W najpoczytniejszym miesięczniku amerykańskim „The Reader's Digest" ukazał się bardzo interesujący i — pouczający artykuł, pióra Richard Joseph'a i Waverley Root'a, pt. „Dlaczego tak wielu amerykańskich żołnierzy lubi najbardziej Niemców?". Sam tytuł jest już zastanawiający, jeszcze bardziej zaś wyjaśnienia w tekście. Podajemy poniżej szczególnie charakterystyczne ustępy.

„Gdy powróciłem do Stanów Zjednoczonych po wielu miesiącach służby w Europie, wezwano mnie do wpisania się do wykazu Czerwonego Krzyża, mającego specjalną kolumnę dla powracających żołnierzy, w której należało podać nazwę ulubionego obcego państwa. Przejrzałem dokładnie tę kolumnę, strona za stroną. Mniej więcej 4 na 5 wracających żołnierzy wolało Nemcy od jakiegokolwiek z państw sprzymierzonych, jakie widzieli. Może to poruszyć każdego będącego u siebie Amerykanina, ale nie zadziwi żadnego z żonierzy, którzy byli na terenie europejskim. Słyszano często Jankesów w Londynie, krytykujących Anglików lub w Paryżu — potępiających Francuzów. Ale było rzadkością usłyszeć Amerykan w Niemczech, złorzeczących na wroga. Nieliczni, którzy to czynili, byli bojownikami, widzącymi przyjaciół, jak ginęli w walce, i ciała Amerykan, zastrzelonych po poddaniu się, i trupy Buchenwaldu, czy Dachau. Ci pozostali nieprzejednani. Ale ich następcy znają Niemców jedynie jako spokojnych, sztucznie przyjaznych gospodarzy.

W armii amerykańskiej stało się niemodne nienawidzieć „krauts" — przyjaźnie używany zwrot. Żołnierze w Niemczech, którzy otrzymywali tak upragniony urlop do Paryża, czy na Riwierę francuską, dość często przed zakończeniem urlopu wracali „do domu" do Niemiec. Jakkolwiek może się to wydać niewiarogodnym, to jednak niejeden z żołnierzy amerykańskich doprowadzał obronę Niemców do tego stopnia, że oskarżał władze amerykańskie o wymyślenie historyj z okrucieństwami. Nie było wyjątkiem usłyszeć z ust amerykańskiego żołnierza, że gdyby nastąpiła jeszcze jedna wojna w Europie — byłby raczej sprzymierzeńcem Niemców.

Co spowodowało tę falę uczucia, zagrażającą naszemu zwycięstwu?

Przede wszystkim, żołnierz amerykański jest gdzie indziej samotny i tęskni za domem. Niemcy wydają się jemu mniej obcy, niż inne narody, nawet Anglicy. Oczekiwał w Niemczech różnic — w istocie zanotował z zadowoleniem wiele cech podobnych. W Niemczech żołnierz USA doświadczył potężne uczucie ulgi z chwilą zakończenia wojny. Otoczenie było przyjemniesze, niż kiedykolwiek. Owszem, wielkie miasta zostały zniszczone, ale większość miasteczek pozostała nietknięta. Nawet w południowej Francji dzieci były blade i chude. W Niemczech były dobrze odżywione, o czerwonych policzkach. Starsi byli lepiej ubrani niż gdzie indziej. A kobiety — — —

Dochodzimy do jednej z najistotniejszych przyczyn obecnego stosunku Jankesów wobec Niemiec. Od chwili przekroczenia granicy zostali zalani morzem oferujących się Frauleins. Jeżeli pragnęli dziewczyny wystarczyło jedynie zatrzymać samochód. Dlaczego Niemki rzuciły się z takim sercem w objęcia żołnierzy amerykańskich? Jedną z przyczyn była przypuszczalnie długa nieobecność ich mężów i narzeczonych. Inną — upadek moralności, będący wynikiem nazistowskich haseł. Uczono Niemki, że obowiązkiem ich wobec państwa było zgadzanie się na wszystko wobec żołnierzy niemieckich na urlopie. Postanowiły również niczego nie odmawiać Amerykanom. Jankesi natomiast patrzyli na to, jako na oznakę przyjaźni i szlachetności.

Polityka niefraternizowania się i kolejne zniesienie tego odgrywały dużą rolę w kształtowaniu opinii Jankesów o Niemczech. Grzywna w wysokości 65 dolarów za fraternizowanie się nie wstrzymywała żołnierzy przed spotykaniem się z Niemkami. Hamowała natomiast przed zgłaszaniem się lekarskim. W pierwszych dwóch miesiącach okupacji Niemiec stwierdzono wśród żołnierzy USA 13.000 nowych wypadków chorób wenerycznych. Niefraternizowanie się zmierzało do uchronienia zdrowia amerykańskiego żołnierza, a w konsekwencji ludności cywilnej po jego powrocie do domu.

Zniesienie tego zarządzenia wpłynęło głęboko na stanowisko Jankesów — oraz na taktykę Niemców. Natychmiast pierzchły uczucia naprężenia i żołnierze odkryli, iż Niemcy należą do najbardziej przyjaznych narodów europejskich. Niemcy uśmiechali się do naszych żołnierzy i zatrzymywali ich, opowiadając o znajomych w USA. Dziewczęta stały się, jak nigdy, serdeczne, a dzeci wymachiwały życzliwie rękoma.

Łatwo było uwierzyć narodowi, zgadzającemu się tak szybko ze wszystkim, co powiedział Amerykanin. Jankes nie mógł zrozumieć, dlaczego Francuz, czy Anglik czasami spierał się z nim gorąco, podczas gdy Niemiec nigdy nie sprzeciwiał się, nie sprzeczał, a zawsze przymilał. Żołnierz ten pamiętał tylko, że właśnie z Niemcem rozmawiał w cztery oczy. I dlatego polubił najbardziej Niemców.

Przeciętny Niemiec jest dwulicowy. Obserwowałem ich przy pracy nad poróżnieniem sprzymierzonych. Na terenie, okupowanym przez Francuzów, Niemcy mówili dość często: „Kiedy wy, Amerykanie, przyjdziecie, ażeby uwolnić nas od tych Francuzów, rabujących po domach i gwałcących kobiety?" Ale w innym miejscu, kiedy wzięto mnie za Francuza, jeden z Niemców oświadczył poufale: „Chwała Bogu, że wy, Francuzi, jesteście w naszych miastach, a nie ci amerykańscy gangsterzy. Wiecie, że w swojej strefie rabują domostwa i gwałcą kobiety?"

Dzień za dniem żołnierz amerykański w Niemczech jest wystawiony na niekończącą się propagandę, na delikatną, bezustanną celowo „robioną" przyjaźń niemieckiego motłochu. I oto Jankes powraca do domu, pełen przeświadczenia, iż wrogowie jego są bliżsi mu od aliantów. Wracają miliony, rozpowszechniając tę opinię we wszystkich zakątkach Stanów Zjednoczonych. W sprawach międzynarodowych weteranie wojny zajmą stanowisko zgodnie z wrażeniami, jakie przywieźli z Europy. Wrażenia te mogą mieć tragiczny wpływ na losy naszego narodu. Mogą spaczyć nasze wysiłki w delikatnym i ciężkim zadaniu zbudowania międzynarodowej współpracy.. Mogą dopomóc pokonanym, upokorzonym, pełnym uczuć zemsty Niemcom powstać z popiołów do trzeciej próby panowania nad światem".

Wiele mówiący artykuł autorzy kończą wezwaniem do rozpoczęcia pracy nad pokazaniem tym żołnierzom, kto jest naprawdę przyjacielem na świecie, a **kto** — poza uśmiechami i słodkimi słowami — pozostaje nadal ich wrogiem.

W tym samym czasopiśmie podano wynik głosowania, zarządzonego przez dowództwo amerykańskie wśród stacjonujących w Europie żołnierzy. Spośród tych, którzy nigdy nie byli w Niemczech, 34 proc. wypowiedziało się pozytywnie o Niemcach. Stosunek ten wzrasta do 42 proc. u tych, którzy byli w okupowanych Niemczech mniej, niż 4 tygodnie, do 54 proc. — da przebywających do dwóch miesięcy i do 59 proc. między Jankesami, będącymi tam już dłuższy czas.

Nasuwa się mimowoli pytanie, jaki byłby procent wśród tych, którzy są w Niemczech od chwili kapitulacji? Czy w artykule nie znajdujemy najwymowniejszej wypowiedzi? I jakże zastanawiającej i smutnej?...

(Paw)

Klub Literacki w Katowicach

Istnieje przy Śląskim Oddziale Z. Z. L. P. w Katowicach dość nawet liczne — jak na stosunki katowickie — grono ludzi, interesujących się czynnie lub biernie sprawami literackimi, zrzeszone w tzw. Klubie literackm. Grono to przyzwyczaiło się w każdy poniedziałek przychodzić na jedną lub dwie godzinki do sali Instytutu Śląskiego przy ul. Warszawskiej, gdzie od miesięcy w każdy poniedziałek odbywają się w godzinach wieczornych tzw. Wieczory Klubowe z dyskusją albo bez. I ani się towarzystwo nie obejrzało, jak minął jubileuszowy 25. Wieczór Klubowy. Zwykłym trybem jednak płyną dalej miłe poniedziałki, w które Wieczory owe cieszą się czasem mniejszym, czasem większym, ostatnio zaś ustalonym już prawie powodzeniem. Klub zyskał sobie zwolenników, a Wieczory Klubowe — stałych bywalców. Nie od rzeczy wydaje się być małe, retrospektywne ogarnięcie tego, co Klub dotychczas zdziałał. Rozpiętość tematów i spraw poruszanych i dyskutowanych na Wieczorach jest szeroka, objęła bowiem swym zasięgiem prawie wszystkie dziedziny „kultury i sztuki". Któraż tam instytucja nie była reprezentowana. O sprawach teatru mówili: dyr. Dąbrowski, dr Koller, red. Szewczyk i Z. Pyzik, o sprawach filmu i radia Baumgardten i Staich. Cykl Wieczorów poświęcony był pamięci pisarzy i poetów, zmarłych w ostatnich 6. latach. O twórczości T. Boya-Żeleńskiego mówił red. Brzoza, o Ignacym Fiku — F.. Kisielińska, o Ludwiku Kobieli — A. Widera, o Adolfie Nowaczyńskim — J. Dobraczyński. Tematy śląskie reprezentowane były w prelekcjach: J. Lewańskiego (Czego Śląsk żąda od literatów) i Z. Hierowskiego (Pieśń i poezja powstań górnośląskich). Poza tym o poezji młodego Podhala mówił T. Staich, o współczesnej poezji polskiej w ogóle — Z. Hierowski, o Łużycach i poezji łużyckiej — redaktor Szewczyk, redaktor Brzoza, oraz działacz łużycki Antoni Nawka, o książce w życiu dziecka J. Wazlowa. Poza tym odbyły się trzy Wieczory Autorskie, poświęcone twórczości członków Klubu, na których wystąpili młodzi poeci i prozaicy, m. in. Feldmanówna, Guttmajerówna, Leszczyński, Orszulok, Szkaradkówna i Widera, oraz Wieczór Prima-Aprilisowy z udziałem satyryków: Baranowicza, Baumgardtena, Nachta-Prutkowskiego, Markowskiego i Pyzika. Na półmetku sezonu kulturalnego na Śląsku referat sprawozdawczy wygłosił M. Markowski.

Obecny Zarząd Klubu Literackiego sprawują: M. Markowski (prezes), T. Staich (wiceprezes), A. Widera (sekretarz), A. Gorywoda (skarbnik), F. Kisielińska (kier. imprez), oraz z ramienia Z. Z. L. P. — J. Brzoza.

W planach Klubu na nowy sezon 46/47 leży uruchomienie filii w innych miastach Śląska. Quod semper felix, faustum... **(w)**

Książka Ziem Odzyskanych

(Dokończenie ze str. 7.)

buchu powstania, a która została całkowicie zmarnowaną, tak że likwidacja powstania stać się musiała faktem nieuniknionym.

Nie wspomina też autor, czy i jakie było współdziałanie Powiatowych Komisariatów Plebiscytowych z czynnikami wojskowymi przed i po wybuchu powstania. Powiatowe bowiem Komisariaty miały lepszy kontakt z lokalnymi Władzami Alianckimi, który można było wykorzystać podczas powstania, jak to nastąpiło np. w Królewskiej Hucie, gdy miasto na wskutek rokowań przeszło do powstańców a pułk królewsko-hucki mógł być użyty na froncie a nie marnować się przy cernowaniu miasta, jak to miało miejsce w Katowicach lub Bytomiu.

Materiały dotyczące III powstania nie są jeszcze dostateczne, stąd też są pewne luki i w książce autora. I tak np. nie całkiem jest zgodne z prawdą, jakoby Naczelną Radę Ludową utworzyły partie polityczne po zlikwidowaniu powstania, gdyż w nią przemieniła się dotychczasowa Naczelna Władza na Górnym Śląsku, uzupełniając się członkami partii politycznych. Autor też nie podaje, kiedy i dlaczego zrezygnował Korfanty ze stanowiska Szefa Naczelnej Władzy oraz że jego następcą w miesiącu lipcu był Józef Rymer, także w charakterze szefa tejże Naczelnej władzy na Górnym Śląsku.

Nie można też z autorem zgodzić się na jego sąd o Sądach Polowych; gdyby wszystko od początku powstania tak dobrze funkcjonowało jak Sądy Polowe, to było by dobrze.

Wreszcie, gdyby dotychczasowi autorzy prac o III powstaniu chcieli lub umieli swoje wspomnienia przedstawić całkiem bezstronnie, to zapewne i autor niniejszej książki dał by wierny obraz III powstania w każdej dotyczącej go sprawie. Niektórzy autorzy, pisząc o powstaniu dopiero po uływie lat dziesięciu czy dłuższego czasu, naginali niejeden fakt do celów politycznych czy osobistych tej doby, w której wydawali swoje wspomnienia.

I tak autor niniejszej książki, opierając się na oświadczeniu dra Grażyńskiego (złożonym wówczas, gdy już był wojewodą śląskim), że powstańcy mogli Górny Śląsk trzymać wbrew woli mocarstw zachodnich tak długo jak tylko chcieli, przyjmuje za fakt prawdziwy, że przyczyną „buntu" dowództwa grupy Wschód, był konflikt ideowy na tle dalszego prowadzenia względnie likwidacji powstania. Tymczasem dr. Grażyński i dowództwo Grupy Wschód w okresie powstania podzielało całkowicie stanowisko zajęte przez Korfantego w przedmiocie układu z Aliantami i likwidacji powstania, a przyczyną samozwańczego ogłoszenia się naczelnym wodzem dowódcy grupy „Wschód" Karola Grzesika było pragnienie dojścia do władzy niektórych członków tej grupy (Piłsudczyków), gdyż już wówczas żądano dla jednego z nich stanowiska wicewojewody przyszłego województwa śląskiego. Korfanty zaś, jak wiadomo, był zdecydowanym wrogiem obozu Piłsudskiego i zależało mu na utrzymaniu swoich wpływów na Śląsku.

Gdyby Maciej Mielżyński swoje wspomnienia, na których też autor się oparł, był napisał bezpośrednio po likwidacji powstania w roku 1921 a nie dopiero w roku 1931, kiedy wojewodą śląskim był dr. Grażyński, to zapewne nie byłby go tak gloryfikował i wraz z nim innych członków dowództwa grupy „Wschód". Wszak nikt inny, tylko właśnie to dowództwo żądało od Korfantego, aby dał dymisję Maciejowi Mielżyńskiemu, o czym ów nie wspomina, a rzecz przedstawia tak, jak by to Korfanty uczynił z własnej inicjatywy, a może nawet wbrew woli tegoż dowództwa.

Mimo, iż nie można się zgodzić ze wszystkim, co autor przedstawia, to jednak pojawienie się jego książki należy powitać z uznaniem i przyznać jej wartość naukową. W szczególności zadał sobie autor wiele trudu w zgromadzeniu materiału, w przestudiowaniu go i przedstawieniu wielu rzeczy z dość drobnymi szczegółami.

Władysław Borth.

Patrzymy na ekran

Jeżeli chodzi o recenzje filmowe z ostatnich tygodni, to odsyłam uprzejmie czytelników do poprzednich numerów „Odry", bo nie chcę się powtarzać, jak powtarzają się ograne filmy na ekranach kin katowickich („Srebrna flota", „Zakochany złodziej"). O jedynym, rzekomym „odświeżeniu" repertuaru filmowego w Katowicach powiem natychmiast. Otóż w jednym z naszych kino-teatrów (nie powiem w którym, bo jestem dyskretny) idą dwa filmy: „Mściciele" i jeszcze jedna historia lotnicza. Oba te, przed wojną już średniej klasy filmy, urwano w połowie po to, by w sumie dać jeden kiepski seans. Uważamy, że lepiej byłoby dać montaż złożony z zakończenia jednego i drugiego filmu, albo spróbować zmontować co czwartą scenę i do tego dodać co siódmy polski napis. Byłoby oryginalniej i bardziej niespodziankowo. A tak — publiczność wychodzi z kina trochę nieprzytomna, ale nie całkiem.

Dowiadujemy się, że Greta Garbo, była żona sławnego dyrygenta Leopolda Stokowskiego — wraca na ekran. Ostatni jej film przed wojną nosił tytuł „Dwulicowa kobieta" (reżyseria Lubits'a). Obecnie boska Greta kręci w Hollywood film, mający przedstawić życie George Sand. Greta Garbo ma w tej chwili lat.... (znowu w porę przypomniałem sobie, że jestem dyskretny...) — jej starsza o dwa lata rywalka Marlena Dietrich liczy obecnie 43 lata, a Joan Crawford 44.

W najbliższych tygodniach odbędzie się w Cannes festival filmowy (3. z rzędu — o 2. pierwszych donosiliśmy już). W festivalu tym już zgłosiły swój udział — ZSRR, Wielka Brytania, Argentyna, Kanada, Meksyk, Polska (no, no!), Czechosłowacja i Szwecja.. Przyrzekły zaś udział — Belgia, Szwajcaria oraz Dania. Zwraca uwagę nieobecność Stanów Zjednoczonych — tłumaczyć ją należy tym, że Ameryka Północna nie zawarła jeszcze z Francją umowy filmowej. Natomiast produkcja amerykańska coraz bardziej interesuje się możliwościami eksportu do wygłodniałych krajów Europy. Według relacji „Motion Pictures Herald", trust wielkich producentów filmowych wystąpił do walki z ograniczeniami wolnego handlu w dziedzinie filmów. W każdym razie inicjatywa wywozu filmów amerykańskich do 12 krajów europejskich wychodzi od eksporterów a nie od klientów. Poczekamy na wyniki.

Anglicy zapowiadają przewrót w produkcji filmu kolorowego. Opierają swoje nadzieje na rewelacyjnym wynalazku, pozwalającym powlekać negatyw taśmy filmowej trzema warstwami kolorowej emulsji — równocześnie. Ma to umożliwić produkcję każdego filmu kolorowego w czasie o połowę krótszym niż dotychczas.

W związku z filmem kolorowym zwracamy uwagę, na barwny dodatek filmowy, przedstawiający Święto Sportu w Moskwie. Kolory w tym filmie sowieckim są bardzo delikatne i dają pełną radość oczom. Nie można tego powiedzieć o dodatku sportowym polskim, który idzie w tym samym kinie („Słońce"). Obraz w tym dodatku jest ciemny, źle wyświetlony, — montaż i jego koncepcja fatalna. Nawet entuzjaści sportu zawiedli się na tym filmie. I komu to potrzebne...

Alba.

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik" Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik"
R 23022